

NR 2/78/ 2014

PISMO EWANGELIZACYWNE
WSPÓLNOTY
ODNOWY W DUCHU ŚWIĘTYM
POŚLANIE
CENA: 4,50 ZŁ

POŚLANIE

Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię!

Mk 16,15

Zawsze się radujcie

o. Enrique Porcù

Zobaczyć głębię swoich pragnień

wywiad z ks. Arturem Szymczykiem

Pan słyszy wołających o pomoc

świadectwo

Powierz Panu swoją
drogę i zaufaj Mu

Ps 37,5

W NUMERZE:

1 RADUJCIE SIĘ ZAWSZE W PANU!

O. ENRIQUE PORÇU

4 PAN SŁYSZY WOŁAJĄCYCH O POMOC

ŚWIADECTWO

6 PRZYJĄĆ SWÓJ KRZYŻ

DAGMARA KRZYŻANOWSKA

8 WSZYSTKO, CO SIĘ DZIEJE, MA JAKIŚ CEL

ŚWIADECTWO

11 BÓG WIE LEPIEJ

DAGMARA KRZYŻANOWSKA

12 ZMARTWYCHWSTAŁY PAN ZWYCIĘŻA!

KATARZYNA CIESIELSKA

14 ZOBACZYĆ GŁĘBIĘ SWOICH PRAGNIĘŃ CZ.II

WYWIAD Z KS. ARTUREM SZYMCZYKIEM

16 SZALENIEC Z GRANADY

AGNIESZKA KOZŁOWSKA

23 BŁOGOSŁAWIONY CZAS SAM NA SAM

ŚWIADECTWO

24 WYBRANE STRATEGIE NIEPRZYJACIELA

EWA LESZCZEŁOWSKA

28 W IMIĘ JEZUSA, CHODŹ!

RENATA CZERWIŃSKA

30 ALBOWIEM NIE W SŁOWIE, LECZ W MOCY PRZEJAWIA SIĘ KRÓLESTWO BOŻE

AGNIESZKA RYBA

32 ZOBACZYŁAM, ŻE JESTEM KOCHANĄ PRZEZ BOGA

ŚWIADECTWO

POWIERZ PANU SWOJĄ DROGĘ I ZAUFAJ MU (Ps 37,5)



Istnieje dzisiaj przekonanie, że swoje życie musimy brać we własne ręce i sami kształtować swoją przyszłość. W myśl tego powinniśmy zatroszczyć się o dobre rozplanowanie i wykorzystanie wszystkich możliwości rozwoju, aby móc się w pełni zrealizować. Przydatne do tego są koneksje, dlatego uczula się nas na właściwe dobieranie sobie towarzystwa. Jeśli więc dobrze wykonamy powyższe założenia, możemy powiedzieć, że będziemy spełnieni i usatysfakcjonowani...

Te sztucznie podtrzymywane idee nie realizują się jednak w życiu. Nie spotykamy ludzi szczęśliwych z odniesionego sukcesu, którzy po jakimś czasie nie odkryliby, że czują niedosyt, pustkę czy nawet rozczarowanie tym, do czego tak uparcie przez długi czas dążyli. Jeśli budujemy szczęście na sobie, innych ludziach czy upatrujemy go w pozycji lub zawodowym sukcesie, to skończoność tych spraw powoduje ostatecznie doświadczenie gorzkiego niespełnienia.



Nielatwo jest oddać komuś swoje życie, zwierzyć jego ster czyimś ręką. Odczuwamy lęk przed tym, że ktoś poprowadzi nas nie tam, gdzie sami chcemy. Możemy jednak spotkać wielu takich ludzi, którzy odważyli się na ten krok i oddali swoje życie w ufny zawierzaniu Bogu. On zaś - którego miłość do człowieka jest nieskończona - sprawił, że opadły z ich rąk kajdany, to, co nierealne, stało się możliwe, a doświadczenie szczęścia i spełnienia okazało się prawdziwe. Czy nie pragniemy pójść za ich przykładem?



W imieniu redakcji
Agnieszka Kozłowska

POŚLANIE

NR 2/78/2014

PISMO EWANGELIZACYJNE
WSPÓLNOTY ODNOWY
W DUCHU ŚWIĘTYM
„POŚLANIE”
DZIAŁAJĄCEJ
PRZY KOŚCIELE
WNIEBOWZIĘCIA NMP
W TORUNIU

WYDAWCA:

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE
EWANGELIZACYJNE „POŚLANIE”

PREZES STOWARZYSZENIA:

EWA LESZCZEŁOWSKA

ASYSTENT KOŚCIELNY:

KS. PRALAT MGR JÓZEF NOWAKOWSKI

REDAKTOR NACZELNY:

DAGMARA KRZYŻANOWSKA

REDAKCJA PISMA:

AGNIESZKA KOZŁOWSKA, RENATA CZERWIŃSKA,
KATARZYNA CIESIELSKA

WSPÓLPRACA:

EWA LESZCZEŁOWSKA, ANNA JAKUBOWSKA,
TOMASZ KALNIUK, AGNIESZKA RYBA

OPRACOWANIE GRAFICZNE I ŁAMANIE KOMPUTEROWE:

MARTA KALNIUK

OKŁADKI: MARTA KALNIUK

ZDJĘCIA NA OKŁADKACH:

DOROTA KOWALSKA, TOMASZ KSIĄŻCZAK

KONTAKT:

wspolnota@poslanie.pl

ADRES NASZEJ STRONY:

www.poslanie.pl

ISSN 1734-7602

DRUK: DRUKARNIA LORETAŃSKA,

WARSZAWA - REMBERTÓW

o. Enrique Porcu

Radujcie się zawsze w Panu!

Konferencja wygłoszona 1 czerwca 2013 r. w trakcie rekolekcji charyzmatycznych w Toruniu

Duch Święty daje piękne dary. Pierwszym darem jest miłość, drugim - radość, a trzecim – pokój. O te dary chcemy prosić w tych rekolekcjach. Wczoraj prosiliśmy o dar radości i wasze twarze trochę się rozpogodziły. Myślę, że Bóg zesłał tutaj tę łaskę. Musimy teraz przenieść tę radość na całe miasto. Dzisiaj chcemy prosić o kolejny dar, o pokój. Św. Franciszek mówił: *W Twojej woli jest mój pokój*. Pokój zachowuje tylko ten, kto pełni wolę Bożą i we wszystkich okolicznościach zawiera się Bogu jak dziecko. Bardzo podoba mi się pieśń, którą śpiewaliście przed chwilą, bo jej refren składa się z dwóch wyrazów: *Alleluja! Amen!* „Alleluja” to wyraz radości, a „amen” oznacza nasze zawierzenie.

Jesteśmy zawsze niezaspokojeni, ciągle narzekamy. Zawsze jest coś, na co możemy szemrać i tu wchodzi działanie demona. Musimy nauczyć się, aby składać wszystkie nasze trudności i problemy w Sercu Jezusa. Przede wszystkim my, mężczyźni stale jesteśmy niezadowoleni. Żona cały czas pracuje, przygotowuje posiłki, stawia kwiaty na stół, a my nawet tego nie zauważamy, nie dziękujemy. Ile czasu minęło od momentu, kiedy ostatni raz podziękowałeś żonie? My, mężczyźni zostaliśmy tak skonstruowani, że jesteśmy

trochę gruboskórni. Pewnego dnia przyszedłem do mojego biura i zobaczyłem wazon z kwiatami, więc podziękowałem misjonarzom, którzy przygotowali moje biuro. Byłem bardzo szczęśliwy, widząc te kwiaty. Wtedy jedna z misjonek powiedziała: „Dobrze, że ojciec zobaczył te kwiaty, bo stoją na stole już cztery dni”. Rzeczywiście musimy prosić Pana Boga o dar, aby potrafić dziękować we wszystkich okolicznościach i mniej narzekać: „Ach! Ta koszula jest źle wyprasowana. Ach! Za mało soli w jedzeniu”. Kobiety również narzekają, w trochę innej formie. One pracują i mówią: „Ajajaj! Ojojój!”. Jak trudno żyć dobrze w radości i pokoju.

Kiedyś opowiedziano mi dowcip, który dobrze wyraża to, co wszyscy przeżywamy. Pewnego dnia ojciec Antonello wybrał się, aby odwiedzić szpital psychiatryczny w Sao Paulo i spotkał tam pewnego chorego, który cały dzień mówił w rozpacz: „Lulu, Lulu, Lulu...”. Ojciec Antonello zapytał lekarza o to, jaki problem miał ten człowiek. Lekarz odpowiedział, że w młodości ten pacjent zakochał się w dziewczynie o imieniu Lulu, ale ona wolała innego, więc on teraz całe dni powtarza: „Lulu, Lulu, Lulu...”. Potem ojciec Antonello przeszedł do innej sali i tam spotkał



innego chorego, który cały czas uderzał głową w ścianę i też mówił: „Lulu”. Wtedy ojciec zapytał o problem tego pacjenta. Lekarz odpowiedział: „A to jest ten, który ożenił się z Lulu”. Zawsze biadolimy. Ciągłe narzekamy. Nigdy nie jesteśmy zadowoleni.

Dzisiaj chcemy wziąć Słowo, które ma moc przemienić nasze serce. Bo Słowo Boże zmienia życie. Nie jest Ono jedynie zainspirowane przez Ducha Świętego. Słowo Boże tchnie Ducha Świętego. Co to znaczy? Jeżeli biorę Słowo Boże, czytam i zaczynam je przeżuwać, karmię się nim, wtedy Ono staje się zesłaniem Ducha Świętego, które zmienia moje serce. Otwórzmy Pismo Święte na *Liście do Filipian: Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko! O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganu z dziękczynieniem! A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie (4,4-7). Oto Słowo Boże. Kiedy mówi się: Oto Słowo Boże, nie możemy odpowiedzieć byle jak, ale musimy odpowiedzieć z mocą: Bogu niech będą dzięki! Bo musimy wziąć to Słowo w posiadanie. Wiemy, że słuchanie jest jedną z najtrudniejszych*

rzeczy. Jednym z największych działań szatana jest to, że przeszkadza on, aby Słowo Boże weszło do naszego serca, żebyśmy słuchali uważnie, bez rozproszeń. On nie pozwala, aby Słowo Boże wkroczyło do naszego życia z mocą, bo wystarczy jedno słowo i zostaną uratowani. Wielokrotnie słyszymy wiele słów, ale żadne nie wchodzi do naszego serca. Więc posłuchajmy raz jeszcze Św. Paweł mówi: *Powtarzam, bo my nie słuchamy. Mówi i jeszcze raz powtarza. Radujcie się! Radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność... Zwróćcie uwagę na te słowa: O nic się już nie martwcie. Zobaczcie, jakie to jest piękne. Pomyśl teraz, o co się martwisz. Zastanów się chwilę. A teraz wyrzeknij się tej sprawy, tego zmartwienia. Nie martwcie się. Wszystko złóżcie w Panu. Z prostotą. We wszystkich okolicznościach, w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganu z dziękczynieniem! A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie.*

Musimy żyć w zawierzeniu. To jest najtrudniejsza rzecz dla nas, stworzeń, bo jesteśmy zranieni grzechem pierworodnym. Przez to mamy tendencję, by wątpić w Boga. Ostrzegwał On: „Nie jedzcie z tego drzewa”. Ale przyszedł diabeł i powiedział: „Jeśli zjesz, staniesz się jak Bóg. On chce cię zdominować. On chce cię zniszczyć. Jedz! Zjedz! Stań się panem swojego życia!

Decyduj, co jest dobre, a co jest złe. Przestań ufać. Zwątp!” A zobaczcie, co jest napisane pod obrazem Jezusa Miłosiernego: *Jezu, ufam Tobie*. Wielka łaska i źródło pokoju to ufać i wiedzieć, że wszystko biegnie ku dobremu dla tych, którzy wierzą Bogu. Mamy tę trudność, że wątpimy i jesteśmy spięci. Jesteśmy zdenerwowani i nie potrafimy powiedzieć tak jak Maryja: „Alleluja! Amen!”. Musimy przejść z „Ojjoj! Ajajaj!” do „Alleluja! Amen!”. Rozumiecie?

Jakiś czas temu okradziono nas. Nasza wspólnota żyje z opatrności. Nie kupujemy jedzenia ani ubrań. Używamy tego, co zostanie nam ofiarowane. Pracujemy z ludźmi mieszkającymi na ulicy, z opuszczonymi dziećmi. Czasami brakuje nam jedzenia, np. misjonarze w Polsce przez miesiąc nie jedli w ogóle mięsa, bo nikt im go nie ofiarował. Mówimy do Pana: *Jezu, ufam Tobie* i Pan Bóg zawsze przysyła nam to, co niezbędne i potrzebne. Powoli udało nam się zbudować biuro, gdzie były komputery, drukarki. Pewnego dnia okradziono nas. Zabrano wszystkie komputery, drukarki, całą centralę telefoniczną. Zaczęliśmy się martwić. Misjonarze pracujący w tym biurze płakali: „Straciliśmy wszystko”. Zadzwoniono do ojca Antonello, który ze swej natury zawsze martwi się o sprawy ekonomiczne, bo to nie jest proste. Nie jest łatwo wydać

220 tys. posiłków każdego miesiąca. Ojciec otworzył Pismo Święte i przeczytał: *Nie martwcie się niczym. We wszystkich okolicznościach składajcie dzięki Bogu.* Wtedy mnie nawrócił. Tego dnia zadzwonił do mnie, przekazał wiadomość o kradzieży i powiedział: „O nic się nie martwmy. Oddajmy Bogu dzięki”. Zwołał wszystkich ludzi z biur i odbyło się wielkie uwielbienie. „Alleluja! Amen!”. Przypomnieliśmy sobie Słowo Boże, które mówi: *Troszczcie się najpierw o królestwo Boże, a wszystkie inne rzeczy będą wam dane.* Minęło kilka dni i zdarzyło się tak, że dostaliśmy nowe komputery i nowe drukarki. Pewna pani zadzwoniła i powiedziała, że dowiedziała się o tej kradzieży, dlatego chce nam dać 200 tys. euro na nowy sprzęt.

Mamy uwierzyć, że wszystko zmierza ku dobremu, nawet jeśli nie rozumiemy, nawet jeśli nie możemy tego dostrzec. Opowiem wam historię pewnego chłopaka, którego przyjęliśmy do naszego domu. Został opuszczony przez swoją mamę i ojca. Zajęła się nim i jego rodzeństwem ciocia. Ale ciocia zachorowała na raka i zmarła. Wówczas się zbuntował, bo pomyślał sobie: „Zostałem opuszczony przez moją mamę, opuszczony przez tatę, moja ciocia zajmowała się mną, ale teraz zmarła”. Stał się bardzo brutalny. Przyjęliśmy go do naszego domu dla dzieci ulicy, ale trudno było się nim zajmować. Tak to trwało aż do bardzo mocnej modlitwy za niego. To był przepiękny moment. Upadł w spoczynku w Duchu, a kiedy wstał, powiedział, że

zobaczył mamę i ciocię, które zmarły. Zawsze bał się tego, że trafiły do piekła, bo mama była narkomanką. Mama mu wtedy powiedziała: „Synku, nie smuć się, bo jestem zbawiona. Pan w Swoim Miłosierdziu przyjął całą moją nędzę. Nie bądź smutny, że cię opuściłam, bo nie wiedziałam, co robię. Ale Bóg, który jest wierny, jest ojcem sierot, dozwolił, żeby to wszystko się wydarzyło, abyś mógł poznać Jego miłość. Nie znałam Boga, nie mogłam cię doprowadzić do Niego, a największym bogactwem tego życia jest poznać Miłość Bożą. Pan Bóg zabrał wiele rzeczy, ale dał ci rzecz najcenniejszą - Miłość Ojca. To było niezbędne, abym umarła, żebyś mógł poznać tę wspólnotę i poprzez tych misjonarzy mógł poznać Miłość Ojca i mamę, która nigdy nie opuszcza – Maryję. Żyj spokojny, opiekuj się swoim rodzeństwem”. Wstał z tego spoczynku przemieniony i dzisiaj to jest chłopak, który najbardziej pomaga nam opiekować się dziećmi ulicy. Więc uwaga! Obudź się! Bo diabeł cię oszukuje. Okoliczności mogą coś powiedzieć, ale prawda jest inna, głębsza. Musimy zanurzyć się w Bogu, żeby to zrozumieć. Słowo Boże budzi nas z tej hipnozy diabła. Ono mówi, że wszystko idzie ku dobremu dla tych, którzy miłują Boga. Powiedz razem ze mną: Wszystko biegnie ku dobremu dla tych, którzy kochają Boga, więc przyjmuję wszystko. Przyjmuję wszystko jako wyraz Twojej Miłości, Twojej woli i mówię: Alleluja! Amen!



Pan słyszy wołających o pomoc (Ps 34,18)

Jestem mężatką i matką czworga dzieci. Przez swoje świadectwo chciałabym oddać Jezusowi chwałę i cześć, bo czuję w sercu ogromną wdzięczność za łaski, jakimi Pan obdarzył mnie i moich bliskich. Kończył się 2005 rok, mieliśmy z mężem troje dzieci, oboje pracowaliśmy i żyliśmy w biegu - jak większość polskich rodzin - próbując pogodzić wychowanie dzieci z pracą. Pan Bóg był zawsze dla nas ważny, ale nie najważniejszy. W niedzielę i święta chodziliśmy razem do kościoła, ale brakowało w tym wszystkim głębi. Rutyna i powierzchowność - tak mogłabym to określić. W pewnym momencie zaczęłam się słabo czuć, a w piersi wyczułam guza. Dzięki Bogu szybko zgłosiłam się na badania, ale diagnoza brzmiała jak wyrok - rak złośliwy

piersi. Zadawałam sobie mnóstwo pytań: Jak to? To już koniec? Mam przecież dopiero 33 lata, trójkę małych dzieci i tyle planów przed sobą. Szybko wyznaczono termin operacji, a po dokładnych badaniach zalecono mi chemię - sześć serii. Po zakończonej chemioterapii stwierdzono, że ze względu na młody wiek i złośliwość raka konieczna jest także radioterapia.

Przez pół roku trwało intensywne leczenie. Mój organizm przeżył prawdziwą rewolucję. Ból fizyczny nie był najgorszy. Najgorsze było cierpienie psychiczne. Życie jakby się zatrzymało. Nie wiedziałam, co będzie dalej ze mną i naszą rodziną. Wtedy właśnie bardzo pomogła mi wiara w Boga. Przekonałam się, jak wielkim bogactwem jest właśnie wiara. W pierwszym

momencie zwróciłam się do Maryi, gdyż od dzieciństwa bardzo Ją kochałam. Obiecałam wtedy Matce Bożej, że jeżeli wymodli dla mnie cud całkowitego wyzdrowienia, to zacznę jeździć do sanktuariów maryjnych. Od młodych lat lubiłam pielgrzymki do miejsc, gdzie w szczególny sposób czczona jest Matka Boża. Przez lata odkładałam to na później. Teraz wiem, że nie powinniśmy ważnych rzeczy odkładać na potem, bo po prostu może już tego „potem” nie być. Po leczeniu, gdy nabrałam już sił, pojechaliśmy do Niepokalanowa. Później dowiedzieliśmy się, że niedaleko nas znajduje się Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej. Pojechaliśmy do niego. Tam właśnie Pan Bóg bardzo mnie doświadczył. Przekonałam się na własnej skórze, jak Maryja w cudowny sposób potrafi przyprowadzić nas do Chrystusa. Po błogosławieństwie kapłana przeżyłam tam osobiste spotkanie z Chrystusem. Doświadczyłam, że On naprawdę żyje i uzdrawia, tak jak czynił to ponad 2000 lat temu. Od tamtego momentu poczułam się przez Niego bardzo kochana i zaczęło się zmieniać moje życie.

Zapragnęłam iść za Jezusem. Z początku nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Zaczęłam się dużo modlić, czytać książki i prasę o tematyce religijnej. Na mszy św. wsłuchiwałam się w każde słowo wypowiedane przez kapłana. Zaczęłam czytać Pismo Święte i żywoty świętych. Dopiero po czasie zrozumiałam, że to Duch Święty otwierał moje oczy i serce. Któregoś dnia uklęknęłam i żarliwie modliłam się do Pana Jezusa, żeby zesłał mi jakąś wspólnotę, bo czułam w sercu niedosyt. Brakowało mi uwielbiana Pana w śpiewie i modlitwie płynącej prosto z serca. Sama nie wiedziałam, w jaką stronę mam ruszyć. Mieszkamy na wsi - 20 km od Torunia, a więc odległość też była jakimś problemem. Minęły dosłownie dwa dni i zadzwonił do mnie znajomy, Grzegorz z Golubia-Dobrzynia, że niebawem zaczyna się Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym, które poprowadzi wspólnota „Posłanie” działająca przy kościele Wniebowzięcia NMP w Toruniu. Zapytał, czy nie chciałabym się zapisać. To było niesamowite. Nie mogłam uwierzyć, że Bóg tak szybko wysłuchał mojej modlitwy. Grzegorz zapisał się z żoną i bliską rodziną, a więc, jadąc do Torunia, mogliby po drodze mnie zabierać. Do dzisiaj dziękuję Bogu, że postawił mi na drodze tę rodzinę. Niech im Bóg błogosławi. Niebawem rozpoczęło się Seminarium. Na pierwszym spotkaniu byłam dosłownie oszołomiona tym wszystkim, co tam się działo. Na samym początku zaproszono Maryję na spotkanie (pomyślałam: „Jestem we właściwym miejscu”), potem była spontaniczna modlitwa do Ducha Świętego, czytanie i rozważanie fragmentu Pisma Świętego. Wszystko to przeplatane śpiewem. To było to, czego mi brakowało. Byłam zafascynowana kolejnymi spotkaniami, które odbywały się co tydzień. Z każdym tygodniem zbliżałam się do

Boga coraz bardziej i otwierałam się na Jego miłość. Niesamowitym doświadczeniem był chrzest w Duchu Świętym, który przyjąłem 25 stycznia 2010 r.

Minęło 7 lat od czasu zachorowania i okazało się, że jestem w stanie błogosławionym. Radość przeplatała się ze strachem. Lekarze podchodzili do ciąży bardzo sceptycznie. Uważali ją za zbyt duże ryzyko i lekkomyślność. Padło pytanie, czy jesteśmy na „tak” z ciążą. Nasza szybka odpowiedź brzmiała, że jesteśmy otwarci na każde życie i z radością przyjmujemy kolejne. Ciążę znosiłam bardzo dobrze, ale było sporo trudnych momentów, które przetrwaliliśmy razem z mężem dzięki pomocy Bożej. Wiele osób modliło się za mnie i nasze dziecko (Bóg zapłać wszystkim!). Odprawiane były msze św. w naszej intencji. W lutym 2012 r. wspólnota „Posłanie” organizowała rekolekcje z ks. Bashoborą. Była więc okazja, aby „zacerpnąć ze źródła Bożej miłości”, aby się umocnić oraz prosić Jezusa o zdrowie dla mnie i dziecka. Był to piękny, błogosławiony czas, który zaowocował ufnością w Boże Miłosierdzie. Patrząc w czasie rekolekcji na ogromny obraz przedstawiający postać Jezusa Miłosiernego, czułam, jakbym zapadała się w głębię Jego miłosierdzia. Pan umocnił mnie i zapewnił, że jest ze mną, więc nic nam nie grozi. Po rekolekcjach musiałam przejść przez trudny czas różnych badań, m.in. diagnozy torbieli, które mogły okazać się guzkami nowotworowymi. Zrobiono biopsję. Długi był czas oczekiwania na wyniki, jednak nasze serca przepelniał dziwny pokój. To było niesamowite. Lekarz przekazał mi radosną wiadomość, że torbiel nie jest nowotworowa. Kolejny raz okazało się, że warto ufać Panu. W sierpniu 2012 r. urodziłam zdrową córeczkę. Chwała Panu! Ma na imię Emilia. Jest spokojnym i radosnym dzieckiem. Razem z nami kroczy za Chrystusem, od szóstego miesiąca życia uczestnicząc w rekolekcjach organizowanych przez „Posłanie”. Tylko dzięki Bożemu Miłosierdziu mogę karmić córeczkę piersią, będąc po jednostronnej mastektomii. Pan mi tak błogosławi, że pokarmu mam pod dostatkiem, a mała, mając dzisiaj 19 miesięcy, nie rezygnuje z mleka mamy i nadal jest karmiona piersią.

Dzisiaj wiem, że Bóg dopuścił moją chorobę, abym Go odnalazła. Przez cierpienie pociągnął mnie i moich bliskich do siebie. Nasza wiara nie jest już powierzchowna i byle jaka. Jej fundamentem jest Chrystus. On jest także dla nas drogowskazem. Jako rodzina wiemy, że mamy ogromne bogactwo. Jest nim żarliwa wiara w Chrystusa. Tylko On może napełnić nasze serca prawdziwym pokojem i radością. Wiemy, że z Nim możemy przetrwać najgorsze momenty w życiu. Naszym orężem w walce jest Jego miłość w naszych sercach. Chwała Ci, Panie!

Nina

DAGMARA KRZYŻANOWSKA

PRZYJĄĆ SWÓJ KRZYŻ



fol. Tomasz Książczak

Wtedy Jezus rzekł do swoich uczniów: «Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę? Albowiem Syn Człowieczy przyjdzie w chwale Ojca swego razem z aniołami swoimi, i wtedy odda każdemu według jego postępowania». (Mt 16,24-27)

ZAPRZEĆ SIĘ SIEBIE

Pan Jezus wzywa swoich uczniów do naśladowania Go poprzez przyjęcie własnego krzyża i podążania drogą, którą On wyznaczył i przeszedł. Jednak istnieje wiele nieporozumień na temat tego, co jest tym krzyżem, który mamy brać na siebie. Często dzieje się tak, że ludzie nazywają krzyżem to, czego powinni się wyzbycić, co jest ich zniewoleniem. Są bowiem rzeczy, sytuacje, relacje, które należy odrzucić, a jeśli tego nie potrafimy uczynić, powinniśmy prosić Jezusa, aby nas od nich uwolnił. Natomiast to, co rzeczywiście jest naszym krzyżem, wiąże się ze słowami: *Niech się zaprze samego siebie*, czyli wymaga naszego samozaparcia, aby naśladować Jezusa. Dotyczy to pracy nad sobą i przyjęcia okoliczności życia, w jakich się znajdujemy – tego, czego nie możemy zmienić, a co musimy zaakceptować. Przebywamy wśród innych ludzi, którzy w pewien sposób nas ograniczają, ale są jednocześnie wyzwaniem dla nas, aby zaprzeć się siebie i w każdej sytuacji być uczniem Jezusa - nieść pokój i światło, nawet pośród otaczających ciemności.

DAĆ SIĘ POPROWADZIĆ BOGU

Tajemnica krzyża jest kluczowa w życiu chrześcijanina, ale trudno o jej właściwe zrozumienie. Św. Paweł w *Liście do Kolosan* pisał o dopełnianiu udreń Jezusa: *Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udreń Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół* (1,24). Nie, żeby zbawczemu cierpieniu Pana Jezusa czegoś brakowało, ale byśmy mogli mieć swój udział w Jego Krzyżu. Jednak nie mamy wyszukiwać cierpień i nakładać na siebie ciężarów, których potem nie jesteśmy w stanie udźwignąć, bo to byłaby fałszywa asceza. Wystarczy, że damy się poprowadzić Bogu

tak, jak On tego pragnie. Wbrew pozorom, to nie jest mało, bo wymaga właśnie zaparcia się siebie, często przyjmowania nie tego, co nam jest miłe, co nam się wydaje, że jest słuszne. Z powodu upadłej natury chcielibyśmy we wszystkim sami o sobie stanowić, nawet podejmując służbę Bogu zdarza się, że chcemy Nim dyrygować i sami wybierać sposób jej realizacji. Poprzez życie i posłannictwo św. Tereski Pan Jezus ukazał nam małą drogę. Jednak ta droga, jak się jej bliżej przyjrzyć, nie jest taka mała, bo właśnie wymaga wielkiego zaparcia się siebie i bezgranicznego zdania się na Boga. Człowiek natomiast wciąż podlega pokusie bycia wielkim i samostanowienia, a bycie małym, uniżenie nie przychodzi tak łatwo. Trudno jest przyjąć zwykłą, szarą codzienność i te wyzwania, które stają przed nami każdego dnia.

DOKONAĆ WŁAŚCIWEGO WYBORU

Jezus, stawiając warunki naśladowania Go przed każdym, kto chce być Jego uczniem, na szali kładzie nasze zbawienie – *Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?* To jest ta stawka, o którą toczy się walka w naszym życiu. Do nas należy wybór: gonić za wielkością, za posiadaniem, narażając się na utratę zbawienia, czy też szukać tego, co przybliży nas i innych do wieczności z Bogiem.

PEŁNIĆ DOBRE UCZYNKI

Naśladowanie Chrystusa jest związane również z pełnieniem dobrych uczynków. Jest taka pokusa, której w naszych czasach niektórzy ulegają, żeby oderwać duchowość od rzeczywistości zewnętrznej, zredukować ją do świata wyłącznie wewnętrznego. A jednak Pan Jezus zapowiada: *Albowiem Syn Człowieczy przyjdzie w chwale Ojca swego razem z Aniołami swoimi, i wtedy odda każdemu według jego postępowania*. Miłość do Jezusa musi wyrażać się w relacji do innych i w podejmowaniu konkretnych wyzwań. Nie żyjemy bowiem w próżni i nie żyjemy tylko dla siebie. Wartość naszego postępowanie przejawia się w pełnieniu dobrych uczynków względem bliźniego. Nasza duchowość musi być bardzo głęboko osadzona w krzyżu, który mamy przyjąć, by naśladować Jezusa i w pokornym pełnieniu Jego woli. O to mamy zabiegać i troszczyć się, by wolę Bożą poznawać i każdego dnia wypełniać.

ŚWIADECTWO

WYGŁOSZONE 2 SIERPNIĄ 2013 R. PODCZAS
FESTIWALU MŁODYCH W MEDJUGORIE

fot. Bogumiła Kycia



WSZYSTKO, CO SIĘ DZIEJE, MA JAKIŚ CÉL

Chciałabym opowiedzieć o tym, jakiego błogosławieństwa doświadczyłam w ostatnim czasie poprzez to, że Bóg dotknął mojego życia. Nazywam się Mary Carlene, mam 21 lat i pochodzę z Irlandii. Wzrastałam w przekonaniu, że Bóg i wiara są bardzo ważne. Rodzice uczyli mnie, że Bóg jest moim przyjacielem. Z radością wspominam modlitwy i dialogi z Bogiem z czasu, kiedy byłam mała. Te pierwsze

lata mojego życia z pewnością były najszczęśliwsze. Kiedy dorastałam, wiara nie była czymś modnym wśród moich rówieśników. Żyłam pod presją, żeby się zachowywać i wyglądać w konkretny sposób. Chodziłam na msze co niedziela, ale byłam na nich obecna tylko w sposób fizyczny, to było coś automatycznego, traktowane jako nudny i trudny obowiązek. Moja dusza i serce znajdowały się w innym miejscu. Zawsze



fascynowałam się tańcem, był on dla mnie czymś naturalnym. Od dzieciństwa marzyłam o tym, żeby zostać baletnicą. Wzrastałam w przekonaniu, że sensem mojego życia będzie zostać najlepszą tancerką, jaką kiedykolwiek widziano. Wierzyłam, że taki sukces przyniesie mi prawdziwą satysfakcję i wewnętrzny pokój. Zrozumiałam jednak potem, że pustka, która była w moim sercu, nie zostanie wypełniona przez sukcesy, trofea i pychę. Nie miałam wtedy świadomości, że to właśnie Bóg jest brakującym elementem w tej układance i że będę mogła doświadczyć tego spełnienia poprzez modlitwę.

Kiedy miałam 17 lat, pojechałam do Afryki, by uczyć w slumsach Nairobi. Tam znalazłam inną radość, coś, co zaczęło dawać mi satysfakcję. Wypływało to z ofiarowania siebie innym. Cytując słowa Mahatmy Ghandiego, najlepszym sposobem na odnalezienie siebie jest utrata siebie w służbie innym. Po tym

doświadczeniu, dzięki któremu spokorniałam, może po raz pierwszy w życiu czułam, że na nowo odnajduję siebie. Wiedziałam, że ten czas spędzony przeze mnie w Afryce, był tylko kroplą pomocy w oceanie ubóstwa. Miałam w sobie głód, aby dać o wiele więcej tym, którzy mieli mniej szczęścia niż ja i zaczynałam rozumieć, że być najlepszym, najślawniejszym nie jest zupełnie ważne w życiu.

Latem 2011 roku zdecydowałam się na nową podróż misyjną z grupą „Magis” - tym razem do Portugalii, aby pracować pośród ubogich, żyjących w slumsach. Nasza podróż miała zakończyć się w Madrycie na Światowych Dniach Młodych. Nie spodziewałam się, że ta pielgrzymka stanie się podróżą do odnalezienia samej siebie i punktem zwrotnym w moim życiu. Ten wolontariat był czymś, czego wcześniej nigdy nie robiłam. Nie dawaliśmy ubogim pieniędzy ani nie karmiliśmy głodnych, aczkolwiek to, co czyniliśmy, było o wiele cenniejsze, niż jakiegokolwiek pieniądze. Poświęciliśmy się całkowicie, aby być z tymi ludźmi,

żyliśmy z nimi. Jedną z najszczerzejszych, najbardziej intymnych chwil podczas tego całego tygodnia w Portugalii było gromadzenie się wszystkich pielgrzymów na porannej modlitwie. Każdego dnia braliśmy się za ręce i z zamkniętymi oczami mówiliśmy „Ojcze nasz”. Tę modlitwę odmawiałam od dzieciństwa, każdej niedzieli podczas mszy odklepywałam ją od początku do końca. Ale dopiero wypowiadając te słowa razem z młodymi wszystkich narodowości i widząc, jak jedna modlitwa może zjednoczyć ludzi z całego świata, nauczyłam się wypowiadać te słowa, rozumiejąc ich prawdziwe znaczenie. Stała się ona dla mnie czymś fascynującym. Byłam zaskoczona, że po tylu latach odmawiania modlitwy „Ojcze nasz” dopiero teraz zaczęłam naprawdę się nią modlić. Wyjechałam z Portugalii z poczuciem spełnienia, z głębszym zrozumieniem swojej wiary. Ale Madryt nauczył mnie, że nie ma granic dla głębi wiary człowieka. Światowe Dni Młodych były bardzo mocnym doświadczeniem, podobnie jak Festiwal Młodych tutaj, w Medjugorje. Zostałam naprawdę poruszona wiarą innych młodych i napełniona panującym tam duchem radości.

We środę, po relaksującym dniu z moimi przyjaciółmi, przechodziliśmy przez ulicę, wracając do miejsca, w którym mieszkała nasza wspólnota „Magis”. Niezależnie od tego, ile miałam lat i w jakim miejscu świata się znajdowałam, zawsze w głowie słyszałam słowa matki, która mówiła: „Zatrzymaj się, popatrz, posłuchaj”. Jako typowa nauczycielka, sama przyjąłam taką postawę i pomagałam moim przyjaciołom przechodzić bezpiecznie przez ulicę. Kiedy dotarłam do trzeciego pasa, spojrzałam w lewo i nawet nie miałam czasu na wzięcie oddechu. Taksówka zbliżała się w moim kierunku z dużą prędkością. Widziałam, że nie będzie miała możliwości się zatrzymać, a ja nie dam rady się odsunąć. W tym ułamku sekundy zatrzymałam się, zastygłam w wierze. Następne kilka sekund minęło jakby w zwolnionym tempie. Kiedy zamykam oczy, ciągle na nowo przeżywam te sześć następnych sekund. Taksówka mnie potarła z lewej strony - przez jakiś czas leciałam w powietrzu. Upadając, wiedziałam, że nie mogę pozwolić na to, aby uderzyć głową w asfalt. Nie byłam gotowa na śmierć i chciałam zrobić wszystko, aby temu zapobiec. Do dziś naprawdę nie jestem w stanie wyjaśnić, w jaki sposób, ale udało mi się obrócić o sto osiemdziesiąt stopni w powietrzu i... stanęłam na ziemi na nogach. Naukowcy mogą przypisać to grawitacji, ale jestem przekonana, że to wszystko zawdzięczam Bogu. Udało mi się jakoś dotrzeć do pobocza i wpadłam w ramiona przypadkowej osoby. Zanim zdążyłam się zorientować, tłum pielgrzymów, w tym kilku moich przyjaciół, otoczył mnie, próbując mi pomóc. Pomimo że czułam wielki ból, nawet nie mogłam trzeźwo myśleć, widziałam, że wokół mnie zgromadził się tłum. Zobaczyłam Boga w twarzach

osób, które zbiegły się, aby mi pomóc. Przyjechała karetka, aby mnie zabrać do szpitala. Przeprowadzono mi wiele bolesnych badań, przewieziono na intensywną terapię. Leżałam tam przez 6 długich godzin i nie byłam w stanie się porozumieć z hiszpańskimi lekarzami i pielęgniarkami. Nie wiedziałam, czy wtedy umrę, czy nie, ale chciałam tylko zadzwonić do mojej rodziny i powiedzieć im, że ich kocham. Pamiętam, że nie wiedziałam, co robić. Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić. Przypominam też sobie, że obok mnie był jezuita, który dawał mi namaszczenie chorych. Z niewielką siłą, jaką miałam, zaczęłam spontanicznie na głos odmawiać „Zdrowaś Maryjo”. Było to dla mnie bardzo poruszające. Myślałam, że to jest już ostatnia modlitwa w moim życiu. Często, kiedy dziecko się przewróci, jedyną rzeczą, która sprawi, że poczuje się lepiej, jest pocałunek mamy. W tamtym momencie jedynym, czego potrzebowałam, było matczyne pocieszenie i takim pocieszeniem była dla mnie świadomość, że Maryja jest tak blisko mnie w tej traumatycznej sytuacji. Kiedy wypowiedziałam ostatnie słowa tej modlitwy - *teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen* - poczułam, że w moje ciało wchodzi niewiarygodny pokój. Wówczas całkowicie powierzyłam się Bogu i pomyślałam: „Jeśli teraz muszę umrzeć, niech się wypełni Jego wola”. Odczuwam ten sam pokój tutaj, w tym pięknym miejscu. Mówi się, że dom jest tam, gdzie jest obecna twoja matka. I naszą niebieską Matkę z pewnością można spotkać tutaj. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, czuję, jakbym wracała do mojego domu. Dzień później rano dowiedziałam się, że miałam liczne złamania, popękana miednica, połamane kolana, stopy i kręgosłup. Żaden lekarz ani pielęgniarka nie znali języka angielskiego, ale to, co robili, przemawiało głośniejsz niż jakiegokolwiek słowa. Nigdy nie zapomnę dobroci tych osób. Nie wiem, skąd ja i moi rodzice mielibyśmy siłę, aby przejść te dziesięć dni pobytu w szpitalu w Madrycie, gdyby nie modlitwa pielgrzymów i wsparcie ze strony innych osób.

Kiedy pojechałam do szpitala w Irlandii, otrzymałam wiele podarunków, słodyczy, kartek, listów. Od tych rzeczy ważniejsze jest to, że wszystkie osoby, które mnie obdarowały, same były dla mnie wielkim darem. Podczas sześciu tygodni pobytu w szpitalu blisko domu zostałam przeniesiona do szpitala w pobliskim mieście i byłam przygotowywana do operacji. Chirurg w ostatniej chwili zmienił opinię i wysłał mnie do domu. Moja rodzina czuła się rozczarowana, bo uważała, że to była dla mnie trauma, której można było uniknąć. Ale ten krótki czas, który spędziłam w szpitalu miejskim, otworzył mi oczy na prawdziwie cierpiących. Zobaczyłam, że każda osoba zmagająca się z własną chorobą, dolegliwościami czyni to w sposób naprawdę heroiczny. W szpitalnej sali leżało ze mną pięć starszych kobiet. Te cztery noce spędzone

w szpitalu napelniły mnie nadzieją i przekonały, że w moim cierpieniu nie jestem sama. Miałam to szczęście, że spotkałam się ze wspaniałymi osobami i zawsze będę czerpać siłę z tego, z jaką pokorą te pięć starszych kobiet niosło swój krzyż. Myślę, że życie jest jak podróż. Nigdy do końca nie wiemy, jaka droga otworzy się za zakrętem, ale musimy ufać, że Bóg ma plan dla każdego z nas. Aż do dzisiaj moja droga wcale nie była łatwa i prosta. Miałam na niej wiele porażek, stłuczek, nieoczekiwanych zakrętów. Po półtora roku spędzonym na wózku inwalidzkim nauczenie się na nowo chodzić było dla mnie wielkim i trudnym wyzwaniem. Często ulegałam zniechęceniu. Doświadczałam momentów, kiedy myślałam, że już nigdy więcej nie stanę na nogi, nie będę tańczyć.

Zacytuję tu św. Katarzynę ze Sieny: bądź tym, kim Bóg chce, abys był, a wtedy rozpalisz cały świat, bądź taki, jakim Bóg pragnie, abys był, a wtedy zdobędziesz cały świat. Jestem sobą z moimi pokrytymi bliznami nogami, ze wszystkimi bolesnymi wspomnieniami. To doświadczenie daje mi silne poczucie misji. Mocno wierzę, że wszystko to, co się dzieje, ma jakiś cel. Nasze cierpienie jest pewnym fragmentem o wiele większego i lepszego obrazu. Nie patrzę na krzyż, który został mi dany, jak na krzyż, ale jak na dar, który uzdalnia mnie do pomagania innym, aby mogli poznać Boga, tak jak sama ciągle uczę się Go poznawać. W zeszłym roku o tej porze w Irlandii, kiedy przygotowywano się do Kongresu Eucharystycznego, siedziałam na wózku inwalidzkim i nie byłam w stanie uczynić kroku. A teraz jestem tutaj, bez wózka, nawet nie potrzebuję kul. Mogę stać na własnych nogach. W tym roku przeszłam 9 mil w maratonie w Belfaście i udało mi się wejść na szczyty gór Croagh Patrick i Slieve Donard - dwa najwyższe szczyty Irlandii. Nigdy nie myślałam, że doczekam dnia, kiedy będę mogła robić takie niesamowite rzeczy. To przypomina mi słowa św. Pawła, że wszystko mogę w Chrystusie, który mnie umacnia. Bóg umocnił mnie na ciele, umyśle i w duchu. Przeprowadził mnie przez doświadczenie, które było jednym z najtrudniejszych w moim życiu, ale też jednym z najcenniejszych. Jestem tak bardzo wdzięczna, że w tym tygodniu mogę być tutaj z posługą, którą podjęłam po wyjściu ze szpitala – Esperanza Ministries, z grupą młodych ludzi, którzy mnie wspierali, inspirowali i dodawali odwagi we wszystkim. Zawsze będę nosić w sobie blizny po tych wszystkich doświadczeniach. Uważam jednak, że nasze rany i blizny nie tyle mówią o cierpieniu, którego doświadczyliśmy, ale świadczą o wewnętrznej sile każdego człowieka – sile, która może przyjść tylko od Boga. Ta moc uzdalnia nas do wszystkiego, do przezwycięzania wszelkich przeszkód, które stają na drodze naszego życia. Noszę moje rany i blizny jako barwy wojenne, podnoszę głowę do góry, dziękuję Bogu i idę naprzód. Dziękuję.

Bóg wie lepiej

gdy ciężar życia jak głaz granitowy
przygniata plecy do ziemi
i trudno znaleźć sensowne rozwiązanie
mów w swoim sercu
Bóg wie lepiej

gdy chmura niezrozumienia
oplata jak pnące powoju
a ludzka złość zatruwa każdy dzień
mów w swoim sercu
Bóg wie lepiej

gdy z pięknych wizji młodości
zostanie tylko gorycz w ustach
i konieczność wypełniania obowiązków
mów w swoim sercu
Bóg wie lepiej

gdy rozmyślając znów przekonasz się
że nie dosięgniesz Nieogarnionego
i nie przenikniesz Niepojętego
mów w swoim sercu
Bóg wie lepiej

tyle dostajesz ile udźwignąć możesz
tyle postąpisz ile unżyć się zdołasz
Bóg wie lepiej
co komu potrzebne
i jaką drogą prowadzić go trzeba

Dagmara Krzyżanowska

ZMARTWYCHWSTAŁY PAN ZWYCIĘŻA!

W swoim życiu doświadczamy niekiedy smutku, niepewności, dopadają nas strapienia, zwątpienie. Kiedy przychodzą trudne doświadczenia, możemy ulec pokusie utraty nadziei, załamania. W takich momentach możemy też przekonać się, jak wielką jest dana nam łaska wiary, ufności położonej w Tym, który zawieść nie może, który jest Bogiem z nami. Ta pewność, że Jezus żyje, wyzwala nas z niemocy, wyprowadza z naszych grobów i niewoli grzechu, nadaje sens naszemu życiu, pozwala w cierpieniu, trudach i przeciwnościach dostrzec Jego obecność i moc. *Chrystus żyje: Chrystus nie jest postacią, która przeminęła, która istniała w jakiejś epoce i odeszła, pozostawiając nam wspaniałe wspomnienie i przykład.*

Nie: Chrystus żyje. Jezus to Emmanuel: Bóg z nami. Jego zmartwychwstanie objawia nam, że Bóg nie porzuca swoich (św. Josemaria Escriva, To Chrystus przechodzi, 102). Jezus Zmartwychwstał i żyje - przyjęcie tej prawdy przekonuje, że Bóg nigdy nas nie opuszcza, zawsze jest blisko nas, także w tym, co po ludzku trudno przyjąć: Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet, gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie (Iz 49,15).

Zwycięstwo Jezusa na Krzyżu i Jego Zmartwychwstanie daje nam pewność, że Jezus jest pełen mocy. Nie ma takiej sytuacji w naszym życiu, w którą On nie mógłby wejść, której nie mógłby



przemienić. On już pokonał zło, śmierć i szatana. *Pan niech będzie przez wszystkie dni błogosławiony: ciężary nasze dźwiga Bóg, zbawienie nasze. Bóg nasz jest Bogiem, który wyzwala, i Pan Bóg daje ujść przed śmiercią* (Ps 68,20-21).

Odczuwamy niekiedy pokusę, aby wejść w zbytne zatroskanie o siebie, swoje życie, by problemy, jakich doświadczamy, stłumiły naszą radość i zachwiały nadzieję. W tych duchowych walkach, aby nie ulec pokusie zwątpienia, zasmucenia, pesymizmu, orężem staje się Słowo Pana, które nas przekonuje: *Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie ma Go tu* (Mk 16,6).

Zwątpieniu ulegać może także osoba zaangażowana w ewangelizację. Brak widocznych rezultatów podejmowanych działań, piętzące się przeciwności, odczuwany ciężar duchowy - wobec tych doświadczeń rodzić się może pytanie o sens

mojego zaangażowania, posługiwania. Nie ma jednak innej nadziei i mocy w ewangelizacji, jak Zmartwychwstały, żyjący Pan i ta pewność, że On już dokonał zwycięstwa: *„Uznajcie moc Bożą!”*. *Jego majestat jest nad Izraelem, a Jego potęga w obłokach. (...) On sam swojemu ludowi daje potęgę i siłę. Niech będzie Bóg błogosławiony!* (Ps 65,35-36).

Papież Franciszek w adhortacji *Radość Ewangelii* ukazuje tę nadzieję, jaką każdy z nas, każdy posługujący w dziele ewangelizacji może czerpać z tego jedyneŹródła, jakim jest Zmartwychwstały Pan: *Niektóre osoby nie angażują się w misję, ponieważ uważają, że nic nie może się zmienić, że daremny jest wszelki wysiłek. Myślą tak: «Dlaczego miałbym się pozbawić moich wygód i przyjemności, jeśli nie widzę żadnego rezultatu?»* Z taką mentalnością nie można zostać misjonarzem. Taka postawa jest właśnie szkodliwym usprawiedliwieniem zamknięcia się w wygodzie, w gnuśności, w smutku pozbawionym satysfakcji, w egoistycznej próżni. Chodzi o postawę autodestrukcyjną, ponieważ *«człowiek nie może żyć bez nadziei: jego życie straciłoby bez niej wszelkie znaczenie i stałoby się nie do zniesienia»* [211]. *Jeśli uważamy, że nic się nie zmieni, przypomnijmy sobie, że Jezus Chrystus zatriumfował nad grzechem i śmiercią i jest pełen mocy. Jezus Chrystus naprawdę żyje. W przeciwnym wypadku, «jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie»* (1 Kor 15,14). Ewangelia opowiada nam, że kiedy uczniowie poszli przepowiadać Ewangelię, *«Pan współdziałał z nimi i potwierdzał naukę»* (Mk 16,20). Również dzisiaj to się zdarza. *Jesteśmy wezwani, by to odkryć i tym żyć. Zmartwychwstały i chwalebny Chrystus jest głębokim źródłem naszej nadziei i nie zabraknie nam Jego pomocy, by wypełnić powierzona nam przez Niego misję.*

Pomocą, którą dał nam Jezus, jest Duch Święty. On nas uzdalnia do współpracy z łaską wiary, do ufności, do ofiarnego zaangażowania, do dawania świadectwa o Zmartwychwstałym. Potrzeba codziennej współpracy z Duchem Świętym, wytrwałego przyzywania Jego mocy, aby stać się w konkretności naszego życia świadkiem nadziei i wiary w Jezusa, który Zmartwychwstał, żyje i działa w mocy pośród nas: *On może uleczyć to wszystko, co nas osłabia w wypełnianiu zadania misyjnego. To prawda, że zaufanie do niewidzialnego może przyprawić o zawrót głowy: przypomina zanurzenie się w morzu, gdy nie wiemy, co nas spotka. Ja sam doświadczyłem tego wielokrotnie. Lecz nie ma większej wolności od tej, by pozwolić się prowadzić Duchowi, rezygnując z kalkulowania i kontrolowania wszystkiego, oraz pozwolić, aby On nas oświecał, prowadził, kierował i pobudzał tak, jak On pragnie. On dobrze wie, czego potrzeba w każdej epoce i w każdym momencie. Oznacza to być płodnymi w sposób tajemniczy!* (adhortacja *Radość Ewangelii*).



ZOBACZYĆ GŁĘBIĘ SWOICH PRAGNIENI

Z KS. ARTUREM SZYMCZYKIEM
ROZMAWIA MARTA KALNIUK

CZ. II

Jest ksiądz diecezjalnym duszpasterzem młodzieży, opiekuje się wspólnotą studencką i wielu młodych prowadzi w kierownictwie duchowym, pomaga rozwiązywać problemy, które przeżywają. Co powiedziałby ksiądz młodemu człowiekowi, który chce rozpoznać swoje powołanie?

Jeśli mam mówić o powołaniu, muszę cofnąć się do okresu seminaryjnego. Często przywoływano tam dokument Ojca Świętego Jana Pawła II *Pastores dabo vobis*. Jest tam mowa o formacji. Pierwszą formacją, którą tak naprawdę powinien podjąć każdy człowiek (nie mówię, że chrześcijanin, ale w ogóle człowiek), jest formacja ludzka. Co kryje się pod tym hasłem? To nie oznacza kultury osobistej, zespołu pewnych akceptowalnych zachowań chrześcijańskich z szerokim uśmiechem nr „79” na każdą okazję, bo chrześcijanin powinien być zawsze uśmiechnięty, życzliwy i

uprzejmy. Chodzi tu o odkrycie w głębi swego serca mocy łaski, czyli tak naprawdę dostrzeżenie Bożego działania w historii swojego życia, od samego początku. Historii grzechu i łaski, kiedy Pan przemawiał przez doświadczenia, kiedy pozwalał nam zobaczyć to, co jest naszym darem, atutem, w który nas wyposażył, a zarazem to, co jest naszą słabością. To jest moment kluczowy - bez rozpoznania go i bez zaproszenia w te wydarzenia Jezusa Chrystusa odkrywanie powołania może być obarczone pewnym błędem subiektywizmu, pomylenia własnych pragnień z wolą Bożą, nierozumienia ich w kontekście woli Bożej albo nieuchwycenia planów Bożych. Pierwszy krok, który powinno się uczynić, to pozwolić Panu Bogu wejść w historię własnego życia, w każdą sytuację, w każdy zakamarek duszy, wypowiedzieć wszystko, co jest bolesne, co było trudne. Dlatego Pan daje często ludzi, którzy nam towarzyszą. To jest chwila, kiedy człowiek jest w stanie zobaczyć głębię swoich pragnień. Jeśli

zrobi to i usłyszysz Bożą podpowiedź, jaką drogę ma obrać w swoim życiu, potem pozostaje tylko nią z zaufaniem iść, choć nie jest to łatwe. Tam jest początek.

Rozeznawanie powołania to nie tylko i wyłącznie rozpoznawanie tego, w czym będę się czuł dobrze, bo to może być równie dobrze rozeznawanie, która forma ucieczki przed życiem będzie dla mnie najwygodniejsza, która nie będzie wymagała ode mnie podejmowania wyzwań, konfrontowania się ze światem. Można się przecież ukryć nawet za pobożną miną. Wstępem do rozeznawania swojego powołania jest najpierw dostrzeżenie działania Bożego w swoim sercu i proces uzdrowienia wewnętrznego, który pozwala nam zaakceptować swój świat uczuć, zrozumieć samego siebie i wtedy zobaczyć, że pod tym wszystkim, co nam się wydaje – kotłowskimi gruzami – ukrywają się najgłębsze pragnienia, także tego, jaką drogą pójść. Kiedy to wszystko się odgruzuje, rozpozna w mocy łaski Bożej i jej się zawierzy, wtedy można rozeznac słusznie swoje powołanie.

Pamiętam pierwsze rekolekcje w tej wspólnotcie, która towarzyszy mi już prawie 6 lat (powstała tutaj, w Toruniu). Mieszkaliśmy w osiem osób w wypożyczonym od znajomych domku nad jeziorem. Siedzieliśmy, dzieląc się Słowem Bożym, chodziliśmy na msze święte do Hartowca (nie byłem jeszcze kapłanem). Z tych siedmiu osób dziś pozostały dwie, związane głęboko ze wspólnotą. Potem były kolejne rekolekcje, ewangelizacyjne, w których uczestniczyło dwadzieścia kilka osób. Grupa powiększała się. Dzisiaj wspólnota, gdyby wszystkich policzyć, miałaby około 60 osób, większość to studiujący, dojeżdżający. Nie jest to może wspólnota charyzmatyczna, bo (to trochę moja podpowiedź, ale także ich sugestia) szukamy w różnych wspólnotach i ruchach w Kościele tego, co one odkryły jako swój wyjątkowy charyzmat i formę posługi przekazywania Bożego Słowa. Próbowujemy z bogactwa Kościoła wziąć to, co jest najcenniejsze, dlatego też rekolekcje wspólnotowe mają różne formuły i tematykę. Osoby czują w sercu, co jest potrzebne, oddają Panu w modlitwie, szukają pomysłu, jak to zrealizować. Najbardziej fascynujące jest to, co odkryłem też u bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego, choć wiele dzieł po sobie nie pozostawił. Będąc harcerzem, miał on taką intuicję, że najlepsza jest formacja młodzieży przez młodzież. Obecnie to się też sprawdza. Ci młodzi ludzie doświadczyli Bożej mocy, tak jak i ja. Nie uczę zresztą niczego poza własnym doświadczeniem, mogę tylko mówić o tym, jak Pan Bóg zadziałał w historii mojego życia, mogę powiedzieć: „Chodź tą drogą, doprowadzę cię, ale sam musisz wpuścić Jezusa do swojego serca – nie zrobię tego za ciebie. Pozwól Mu tam wejść i zobacz, z jaką mocą działa”. Przekonują się oni, że Jezus jest prawdziwy, wyzwala z niemocy, przecina więzy, które wydawały się nie do przecięcia, uzdrawia

zranienia ich serc. Zresztą Pan powiedział w Ewangelii, że tak się będzie działo: „Na chorych będziecie kłaść ręce, a oni odzyskają zdrowie”. Dziwiłem się wcześniej, że przez tyle lat w duszpasterstwie tego brakuje: jak więc ma się Ewangelia do rzeczywistości? A jednak się ma. Pan Bóg działa przecież przede wszystkim przez sakramenty, ale też przez dary duchowe, które rozlał tak obficie i chce ich udzielać dalej.

Ci młodzi doświadczają więc przejścia Jezusa Chrystusa przez ich życie, a potem są świadkami. Prowadzą ewangelizację, rekolekcje, zapraszają gości i wspólnota dzięki Bożej łasce rozrasta się. Po owocach ich poznacie – widzę, że droga podjęta kiedyś, przed laty, jest dobra. Dlatego też wszystkich młodych zapraszam do pewnej ryzykownej podróży (bo to, co nic nie kosztuje, cóż jest warte?) - żeby pozwolili wejść Panu Bogu w historię swojego życia. Lęk jest chyba największą barierą, która zamyka – obawa przed otwarciem serca dla Pana Jezusa, ale też przed bratem i siostrą, kapłanem, przed tym, że doświadczymy niezrozumienia, nieakceptacji, odrzucenia, potępienia. Nasza historia życia nie jest usłana różami, pojawiają się w niej rzeczy bolesne. Okazuje się jednak zupełnie co innego – że doświadczamy przyjęcia z całą naszą słabością i niemocą, jakbyśmy stanęli nadzy i Pan nas przytula, widząc wszystko, także to, co w nas jest grzeszne i nie do przyjęcia, czym sami się brzydzimy, czego się wstydzimy. Przyjmuje nas z radością, jak syna w przypowieści o miłosiernym ojcu. Zakłada pierścień na palec i nową szatę, żebyśmy się dobrze czuli (przecież stare szaty już się do niczego nie nadają), sandały na nogi i mówi: „Teraz chodź, bądź mi wreszcie synem, Moim umiłowanym dzieckiem”. Tego sam doświadczyłem i do tego wszystkich młodych zachęcam. Wiem, że pojawia się ogromny lęk i że świat proponuje nam zupełnie coś innego, ale to nas nie nasyci. Trzeba by siebie bardzo oszukiwać, by dojść do tego, że to, co przychodzi z zewnątrz - dźwięki, obrazy, płytkie relacje – jest nas w stanie nasycić. Wiem, że tak nie jest, bo młodzi przychodzą i dzielą się tym. Przychodzą strapieni, zbolali, szukający odpowiedzi na pytania o sens swojego życia, jak sobie poradzić w tej czy innej sytuacji, jak wejść w żywą relację z Jezusem. Jeśli przychodzą, to znaczy, że świat z tym, co proponuje, ze swoją ofertą niejednokrotnie antyewangeliczną nie jest w stanie nasycić. Można próbować, nie będę nikomu przeszkadzał, ale po co się kaleczyć, jeśli już trochę bolało? To jest ten pierwszy moment: zaprosić Jezusa, pozwolić, żeby zrobił Boży porządek w naszym sercu, nadał nam nową godność, a potem pójść drogą powołania – a na pewno się ją odnajdzie w głębi serca.

Toruń, 11 października 2013 r.
Wywiad został autoryzowany.

Agnieszka Kozłowska

Szaleniec z Granady

W jednym z listów napisał o sobie: Brat Jan Boży, najmniejszy ze wszystkich, gotów umrzeć, gdy Bóg zechce, który czeka w milczeniu, ma nadzieję w Bogu i pragnie służyć Panu naszemu, Jezusowi Chrystusowi, którego jest niewolnikiem. Amen. Jezu. Jestem niewolnikiem gorszym niż inni ludzie, często łotrem i zdrajcą; bardzo tego żałuję, ale powinienem żałować więcej. Oby Bóg raczył mi przebaczyć i zbawić wszystkich! To zaskakujące wyznanie może być potraktowane jako duchowe świadectwo człowieka, którego losy, choć trudne i splątane, pozwoliły mu dojrzeć do niezwykłego powołania – służby najbardziej chorym i potrzebującym, nie tylko na ciele.

Doświadczenie cierpienia

Życie św. Jana Bożego, choć to postać czasów odległego nam Odrodzenia, mogłoby być kanwą niejednego filmu. Nie ma chyba świętego, który doznałby tylu życiowych zawirowań i przygód. Dość wspomnieć, że już jako ośmioletni chłopiec, jedyne dziecko średniozamożnych sklepikarzy z portugalskiej miejsciny zwanej Montemayor El Nuevo, został podstępem uprowadzony przez wędrownego studenta wabiącego go opowieściami o ciekawych krajach i ich bogactwie. Poszukiwania chłopca, wszczęte po jego tajemniczym, nocnym zniknięciu, nie odniosły skutku, zaś obietnica bogactw okazała się, oczywiście, fatamorganą. Wędrowny młodzieniaszek cynicznie korzystał z towarzystwa chłopca, bo - nazywając go wszędzie sierotą, którego przygarnął z przytułku - budził życzliwość u ludzi, zyskując po drodze większe jałmużny i dobre noclegi. Kiedy natomiast wędrowcy dotarli do Hiszpanii i coraz bardziej ciążyła mu obecność dziecka, porzucił je na rynku miasteczka Oropesa i uciekł. Dopiero nad ranem kolejnego dnia zainteresowano się chłopcem, który – jak się okazało - nie wiedział, skąd pochodzi, nie znał swojego nazwiska i na dodatek nie mówił w tutejszym języku. Próba zwrócenia dziecka rodzicom okazała się przez



to daremna. Dopiero po prawie 30 latach Jan dotarł do rodzinnej miejscowości, gdzie spotkał sędziwego wuja i od niego poznał losy swoich rodziców. Okazało się, że wkrótce po jego ucieczce z domu matka umarła ze zgrzyoty, zaś ojciec, straciwszy wszystkich swoich bliskich, wstąpił do zakonu franciszkanów w Lizbonie, gdzie też po kilku latach dopełnił żywota.

Choć ośmioletnim Janem zaopiekowała się w Oropesie rodzina tamtejszego zarządcy trzód i traktowała jak własne dziecko, próbując zrekompensować mu braki rodzicielskiego ciepła, jako dorastający młodzieniec nie czuł się on do końca szczęśliwy. Mimo wdzięczności i przywiązania do swoich opiekunów, którzy byli skłonni przekazać mu nawet rodzinne dobra i rękę zakochanej w nim ich własnej córki, czuł, że nie będzie spełniony, wiodąc spokojne, rodzinne życie. Głęboko w sercu przeczuwał, że pociąga go coś innego. Wykorzystując wojenne nastroje w Hiszpanii, po czterestu latach od uprowadzenia opuścił on Oropesę i zaciągnął się do wojska, by wziąć udział w starciach hiszpańsko-francuskich. Tam doświadczył trudów życia wojennego, pogardy i nieuczciwości ze strony przełożonych, pokus fachu żołnierskiego, cierpienia spowodowanego ranami, aż w końcu cudem uniknął kary śmierci za rzekome nieprzypilnowanie łupów wojennych, które zostały pod jego opieką wykradzione. Niespodziewana pomoc przyszła w momencie,



kiedy wykonywano już egzekucję skazanego. Został zrehabilitowany, zwolniony ze służby i szczerze zniechęcony wojennym doświadczeniem powrócił do Oropesy. W jego sercu kołatało się wciąż pytanie o sens cudownego ocalenia: do czego Bóg miał go wyznaczyć, skoro nie dopuścił do jego śmierci? Po kilku latach spokojnego życia Jan - zapominając już o goryczy płynącej z poprzedniego wyboru - znowu przyjął mundur żołnierski i dotarł z wojskiem aż na Węgry, aby stawić czoła najazdowi tureckiemu. Z tych doświadczeń wojennych wyniósł lekcję o niegodnym traktowaniu człowieka i trudnym losie żołnierskim, słabości kondycji ludzkiej, ale także wzmocnił w sobie ducha walki i poszukiwania sensu własnego życia. Jego tęsknota za czymś, co go w głębi serca pociągało, a czego ciągle nie mógł jasno rozpoznać, wzmagająca się.

W trakcie powrotu z wojennej tułaczki dotarł do Portugalii, by poznać w rodzinnym Montemayor El Nuevo tragiczne losy swoich rodziców. Powróciły cierpienia, które przeżywał jako dziecko po ucieczce z domu. Pogłębiły je dodatkowo wyrzuty sumienia i poczucie winy za tragedię, której był nieświadomym sprawcą. Próbując poradzić sobie z tym dramatem duszy, a także szukając sposobu zadośćuczynienia za zło, jakie popełnił w życiu, Jan Ciudad – bo takie okazał się mieć nazwisko - wyjechał do Afryki, do Ceuty. Najął się tam do wycieńczającej pracy przy budowie murów

obronnych miasta, a każde zarobione z trudem pieniądze oddawał pewnej rodzinie, skazanej na wygnanie, z którą zaprzyjaźnił się w trakcie podróży i której dramatyczna sytuacja wzbudziła w nim współczucie. Odmawiając sobie nawet podstawowych do przeżycia rzeczy, wielokrotnie przychodził z pomocą tym, którzy byli w większej potrzebie.

Ratować własną duszę

Trudne warunki życia oraz brak poszanowania, wolności i utrudnianie życia chrześcijan w tamtym miejscu były niejednokrotnie przyczyną ich apostazji. Szczególnie uderzyło w Jana przejście na mahometanizm jednego z jego towarzyszy ciężkiej pracy. Rozpacz z powodu zaparcia się wiary przyjaciela była wielka: *O, ja biedny, co ja bym dał za tego brata, który odłączył się od wspólnoty ze świętą Matką Kościołem i wyparł się swojej wiary, byleby tylko trochę nie pocierpieć z powodu pracy!* Pod wpływem cierpienia wewnętrznego zaczęły go dręczyć pokusy, jakoby sam stał się przyczyną tego grzechu. Gdy natarczywości diabelskie były coraz silniejsze, udał się do spowiednika, który nakazał mu - dla ratowania własnej duszy - wyjechać z Afryki i wrócić do Hiszpanii. Posłuszny nakazowi, Jan pożegnał się z zaprzyjaźnioną rodziną i niezwłocznie wsiadł na statek, którym dotarł do Gibraltaru. Tam pierwsze swoje kroki skierował do świątyni, w której się modlił: *Bądź uwielbiony, Panie, albowiem, Twoja dobroć jest wielka, że wielkiego grzesznika, jakim ja*



jestem, a który na to nie zasłużył, raczyłeś uwolnić od wielkiego podstępu i pokusy, w jakie popadłem na skutek moich wielkich grzechów. Zaprowadziłeś mnie do bezpiecznego portu, gdzie ze wszystkich moich sił będę się starał Ci służyć, jeśli mi udzielisz swojej łaski. Błagam Cię przeto, jak tylko mogę, mój Panie, udziel mi jej i nie odwracaj ode mnie oczu Twojej łaskawości. Racz wskazać mi drogę, na którą mam wejść, żeby Ci służyć i na zawsze pozostać Twoim niewolnikiem. Użyj pokoju i ukojenia tej duszy, aby w nich znalazła to, czego bardzo gorąco pragnie.

Po kilku dniach przygotowań Jan Ciudad odbył spowiedź generalną. Często też wstępował do kościołów, by modlić się o dalsze rozpoznanie drogi, którą miałby kroczyć. Szukając tymczasem sposobu zarobkowania, najmował się do różnych prac, a za zaoszczędzone pieniądze kupił książki, którymi zaczął handlować. Starał się przy tym zachęcać do lektury tych pobożnych, jak Tomasza a Kempisa *O naśladowaniu Chrystusa*. W czasie wędrówki od miasta do miasta doszło pewnego razu do niezwyklego spotkania. Idąc po kamienistej drodze, Jan spotkał małego chłopca, ubranego w lachmany i bosego. Początkowo, wzruszony jego niedostatkiem i widokiem pokaleczonych stóp, był gotów oddać mu własne buty. Okazały się one jednak za duże i uniemożliwiały małemu chodzenie. Przejęty chęcią pomocy Jan wziął więc go na ręce i niośł wraz ze swoim dobytkiem na plecach. Kiedy zatrzymali się przy jakimś źródle dla odpoczynku, spostrzegł, że postać chłopca jaśniejnie niezwykle blaskiem, a w ręku trzyma on owocu granatu, z którego wyrasta krzyż. Ku swemu zaskoczeniu usłyszał słowa: *Janie Boży, Granada będzie dla Ciebie krzyżem!* W tym samym momencie chłopiec zniknął. Rzeczywiście, wkrótce potem Jan Ciudad trafił do Granady (w języku hiszpańskim nazwa tego miasta brzmi jak nazwa owocu granatu), gdzie przy bramie Elwiry ustawił na stałe swój stragan. Miał wówczas czterdzieści lat.

Usłyszeć wołanie

Można powiedzieć, że był to czas, w którym Jan prowadził dostatnie, stateczne i spokojne, nawet beztrudne życie, a sprzedaż książek zapewniała mu utrzymanie. Zdomowił się w tym mieście, był rozpoznawalny i wielu ludzi ceniło go i szanowało.

Niespodziewany przełom nastąpił 20 stycznia 1539 r., kiedy to Jan usłyszał mowę znanego w owych czasach kaznodziei, który przybył do Granady. Jan z Avila - bo o nim tu mowa - zwany powszechnie „apostolem Andaluzji”, był franciszkaninem, kapłanem o niespotykanych talentach mówcy. Przyjaźnił się z takimi świętymi, jak Ignacy z Loyola i Teresa z Avila, wspierał też ich działalność. Biskup Sewilli, znając jego zapał ewangelizacyjny, wyznaczył go do misyjnej pracy wśród ludności swojej wielkiej diecezji. Stąd ten święty kapłan - dziś Doktor Kościoła - niestrudzenie wędrował i nawoływał do przemiany życia, rozprawiając o grzechu, potępieniu i miłosierdziu Bożym. Przyznać trzeba, że moc Boża towarzyszyła jego słowom, bo pod ich wpływem wielu przeżywało głębokie nawrócenie, jak na przykład Franciszek Borgiasz, wicekról



Katalonii, który porzucił życie na wystawnym dworze, przywdział sutannę i wstąpił do Towarzystwa Jezusowego.

Jan Ciudad usłyszał więc w Granadzie kazanie słynnego Jana z Avila. Słowa, które wówczas wypowiedział święty kaznodzieja, wstrząsnęły nim: *Gdy kazanie skończyło się, odszedł jakby od zmysłów. Zaczął głośno wołać i prosić Boga o miłosierdzie. Na znak pogardy wobec siebie (on, który już naprawdę szanował tylko to, co było godne szacunku), rzucał się na ziemię, bił głową w ściany, rwał sobie włosy z brody i brwi, a także robił inne rzeczy, skłaniając wszystkich innych do podejrzenia, że postradał rozum.* Biegając po ulicach w otoczeniu śmiejących się i szydzących z niego dzieci i starszych, dotarł w końcu do swojego kramu z książkami i natychmiast rozdał wszystko, co tam

niał. Pozbył się też całej swojej własności. *Ogolocony, bosi i bez nakrycia głowy, biegł główniejszymi ulicami Granady. Wykrzykiwał, że chce iść ogolocony za ogoloconym Jezusem Chrystusem i stać się zupełnie ubogim dla Tego, który będąc ubogaceniem wszystkich stworzeń, stał się ubogim, aby ukazać im drogę pokory. (...) Gdy doszedł do głównego kościoła, padł na kolana, zaczął wołać i mówić: „Panie Boże, miłosierdzia! Okaż miłosierdzie wielkiemu grzesznikowi, który Cię obraził!”. Drapiąc sobie twarz, wymierzając policzki i rzucając się na ziemię, nie przestawał płakać i krzyzczeć oraz prosić naszego Pana o darowanie mu grzechów.*

Poruszone tym widokiem osoby - przekonane, że źródłem zachowania Jana była moc Boża płynąca ze słów kaznodziei - zaprowadziły go do Jana z Avila, który stał się odtąd jego spowiednikiem i kierownikiem duchowym. Przekazał mu wówczas słowa umocnienia: *Bracie Janie, nabierz odwagi w Panu Jezusie Chrystusie i zaufaj Jego miłosierdziu, albowiem On, który rozpoczął to dzieło, dokończy je. Bądź wierny i wytrwały w tym, co rozpoczęłeś. Nie wracaj wstecz ani nie dawaj przystępu diabłu. Wiedz o tym, że ci, którzy do końca walczą w wojsku Pana jako dobrzy rycerze, będą radować się z Nim w chwale. Ci zaś, którzy odwrócą się od Niego plecami, jako tchórze, wpadną w ręce Jego nieprzyjaciół i zginą na zawsze. Gdy natomiast będziesz czuł się smutny i przygnębiony (czego nie może zabraknąć) z powodu różnych trudności i pokus, jakie zwykły przytrafiać się tym, którzy na nowo rozpoczynają toczyć walki Pańskie, przychodź do mnie. Znając twoje sińce i rany, sprawiające ci największy ból, oraz pułapki, przy pomocy których będzie z tobą walczył nieprzyjaciół, z łaską i pomocą naszego Pana znajdziesz zbawienne lekarstwo, dzięki któremu uleczysz duszę i nabędziesz nowych sił, by walczyć ze swoimi wrogami. Teraz natomiast idź z Bogiem i moim błogosławieństwem. Mam nadzieję, że Pan nie odmówi ci swego miłosierdzia.*

Odkrycie drogi

Byli też i tacy, którzy zachowanie się Jana - publiczne oskarżanie się z win, tarzanie się w błocie, wrywanie włosów z głowy, radosne przyjmowanie szyderstw i niezrozumiałe dlań napady śmiechu - potraktowali jako oznakę szaleństwa i umieścili go w miejscowym szpitalu na oddziale psychiatrycznym. Tam stał się on świadkiem nieludzkich warunków pobytu i traktowania najbardziej chorych. Doświadczył jako pacjent ówczesnych metod postępowania w szpitalach psychiatrycznych, spośród których za skuteczne narzędzie rekonwalescencji uznawano dotkliwą chłostę, oblewanie lodowatą wodą czy wrzucanie do surowej izolatk. Właśnie w tym czasie i w tak nieludzkim

miejsu Jan Ciudad odkrył w sobie pragnienie - które okazało się głosem jego powołania - by stworzyć taki szpital, w którym chorzy będą traktowani z miłością i poszanowaniem i który nie odmówi pomocy nikomu, kto do niego przyjdzie. Doświadczywszy w całym swoim życiu wielokrotnie smaku cierpienia, osamotnienia, ubóstwa, stawał się wrażliwy na potrzeby ludzi przeżywających to samo. Wreszcie zrozumiał, że Bóg dał mu się poznać jako miłosierny i ukrzyżowany w ludzkiej nędzy, aby teraz on stał się narzędziem Jezusa współczującego i podnoszącego człowieka z wszelkiej choroby i upadku.

Po opuszczeniu szpitala Jan nie wrócił już do handlu książkami, lecz udał się w pielgrzymkę do Gwadelupy, aby zawierzyć Matce Bożej swoje życie i powołanie. Powrócił z niej do Granady, aby - jak usłyszał z ust dziecka w tajemniczym spotkaniu - w tym miejscu podjąć krzyż swej posługi ubogim i cierpiącym. Biografia podaje, że ten powrót do miasta, w którym wszyscy go znali i pamiętali, nie obył się bez wewnętrznej walki i zmagania z samym sobą. Jan, kiedy zbliżył się do znajomych stron, swoim zwyczajem, *ponieważ było rano, po wysłuchaniu Mszy świętej, poszedł na górę po wiązkę drzewa. Wracając z nią, odczuwał tak duży wstyd, żeby wejść z nią do miasta, że w żadnym wypadku nie potrafił przejść przez bramę Młyńską, znajdującą się dosyć daleko od miejskiego targowiska. Dlatego oddał ją pewnej ubogiej wdowie, która, jak mu się wydało, potrzebowała drzewa. Kolejnego dnia sytuacja się powtórzyła. Tchórzostwo, wstyd, poczucie upokorzenia paraliżowały go całkowicie. W końcu Jan, aby przełamać własną niemoc i stoczyć ostateczny bój ze swą naturą, powiedział sobie: *Ty, panie osle, który nie chcesz wejść do Grenady z drzewem z powodu wstydu i honoru, teraz je stracisz. Zaniesiesz drzewo aż na główny plac, gdzie wszyscy, którzy cię znają, zobaczą cię i poznają, a wtedy stracisz posiadany animusz i pychę.* Tak też się stało.*

Początkowa nieufność i podejrzliwość co do stanu zdrowia i intencji Jana z czasem przemieniła się w ludzką życzliwość. Mieszkańcy miasta, obserwując niegasnący zapał i podziwiając wytrwałość Jana, dostrzegli, że szaleństwem, które ogarnęło jego serce i umysł jest prawdziwa i głęboka miłość Boża. Nią kierowany codziennie wychodził na ulice i szukał tych najbardziej potrzebujących, dzielił się z nimi wszystkim, co miał. Chodził od domu do domu w żebraczych łachmanach i zbierał jałmużnę na ich potrzeby. Jeszcze przed świtem wychodził z miasta, by zebrać chrust, który mógł sprzedać, aby jego prośba o wsparcie nie wydawała się niewdzięczna. Zdobywając swą postawą poważanie u miejscowego biskupa i z pomocą możnych ufundował wkrótce pierwszy szpital-przytułek, a potem kolejne. Spośród tych, które istniały w tamtym czasie, wyróżniały się one nowoczesnym

- dziś powiedzielibyśmy: ludzkim - podejściem do pacjenta, poszanowaniem zasad higieny i troską o potrzeby duchowe chorych.

je do potrzebujących, mawiał: *Bóg nas ratuje, bracia. Proście Pana za tych, którzy czynią wam dobrze.*

Można by pomyśleć, że dzieło, do którego Jan Boży odkrył powołanie, rozwijało się bez trudności i było



Bracia, czyńcie dla siebie dobrze!

To była treść nietypowego zawołania, które Jan Boży - bo tak zaczęto go wkrótce nazywać - używał wobec tych, których prosił o jałmużnę na wsparcie swojego dzieła. Każdego ranka wychodził wcześniej na ulice miasta i wołał: *Kto chce spełnić dobry uczynek? W ten sposób zachęcał ludzi do ofiarności i wskazywał, że czyniąc dobro innym, przede wszystkim czynią dobrze samym sobie, bo akty miłosierdzia są kluczem do nieba i szansą zbawienia własnej duszy.* Choć pozyskał dla swojej sprawy znakomitych i wspaniałomyślnych przedstawicieli bogatych rodów, jednak potrzeby szpitala wzrastały, bo przybywało doń coraz więcej szukających różnorakiego wsparcia. Sam Jan Boży nie odmawiał nikomu, co więcej – szukał i przyprowadzał do przytułku tych, o których wszyscy zapomnieli, którzy sami nie mieli już sił prosić o pomoc. Troską jego serca było odnajdywanie osób, którzy nie ośmielają się szukać wsparcia z powodu wstydlivosti albo żyjących w jawnym grzechu. Niejednokrotnie oddawał im własne, marne odzienie, a uzebrane pieniądze rozdelał wszystkim, nie zostawiając niczego sobie. Przynosząc

pasmem sukcesów. A jednak wielokrotnie doświadczał on, mimo ciężkiej pracy i gorliwości w zbieraniu jałmużny, niedostatku i braku potrzebnych środków na utrzymanie chorych i szpitala. Bóg ćwiczył go w wytrwałości i nieustannym zawierzeniu. W liście do przyjaciela, Guttiera Lasso, Jan zwierzał się: *Ubodzy, którzy tu napływają, są bardzo liczni, tak że pytam nieraz sam siebie zdumiony, jak zdołam ich wszystkich wyżywić. (...) Kiedy jałmużny nie wystarczają na zaspokojenie wszystkich potrzeb, biorę na kredyt. Czasami też zdarza nam się pościć. Oto, w jakich długach i niewoli znalazłem się dla Jezusa Chrystusa. Winien jestem ponad 200 dukatów za koszule, płaszcze, buty, prześcieradła, kołdry i wiele innych rzeczy, niezbędnych w tym Bożym domu, a także za pożywienie dla małych dzieci, które tu porzucono. (...) Zdarza mi się, że na myśl o tak ciężkich długach nie ośmielam się wyjść z domu, zaś widząc cierpienia tylu ubogich, mych braci i bliźnich, ich wielkie potrzeby cielesne i duchowe, smucę się bardzo, że nie mogę im pomóc. Jednakże pokładam całą moją ufność w Jezusie Chrystusie: On uwolni mnie od długów, gdyż widzi moje serce. Dlatego powtarzam: przeklęty człowiek, który ufność, zamiast w Jezusie Chrystusie, pokłada w ludziach, którzy*

zawodzą. *Jezus Chrystus jest wierny i stały. Troszczy się o wszystko. Wszyscy i wszystko niech ustawicznie oddaje Mu cześć. Amen. Jezu! Zaufanie Opatrzności Bożej było więc wieloletnią próbą nie tylko wytrwałości ciała, ale i ducha dla świętego.*

Trwanie w pokorze

Pamięć o własnych występkach z przeszłości i świadomość ułomności ludzkiej natury, która niejednokrotnie buntuje się przed tym, do czego dusza jest pociągana, stymulowały Jana Bożego do nieustannej pracy nad sobą. Ascetyczne życie objawiało się u niego na wielorakie sposoby. Sam karmił chorych, zmywał po nich naczynia, pomieszczenia higieniczne, nie wymijając się od żadnej posługi. Spał na słomianej macie na poddaszu szpitala lub pod schodami. Jako ostatni udawał się na spoczynek, a budził się jeszcze przed świtem, aby doglądać wszystkich potrzeb i wychodzić do lasu po chrust na sprzedaż. Był czuły i litościwy wobec wszystkich, wobec siebie zaś twardy i wymagający. W jednym z listów pisał do wspomnianego przyjaciela, Guttierre Lasso: *Nie przestawaj nigdy, całym sercem, ukochany mój Bracie w Panu, modlić się za mnie do Jezusa Chrystusa, aby obdarzył mnie siłą i męstwem do zwycięskiego zwalczania świata, złego ducha i ciała. Aby udzielić mi raczył pokory, cierpliwości, miłości bliźniego oraz odwagi do szczerego wyznawania moich grzechów i posłuszeństwa względem spowiednika mojego, do pogardzania sobą i miłowania samego tylko Jezusa Chrystusa. (...) W tym nieszczęśliwym życiu - żyć dobrze - to posiadać klucz do zbawienia. Wszystko inne jest niczym* (8 stycznia 1550 roku).

Znana jest historia, kiedy to do Granady przybył młodzieniec z bogatego rodu, markiz de Tarifa, Piotr Enriquez i spędzał wieczór w towarzystwie swoich kompanów, kiedy z prośbą o jałmużnę zapukał do drzwi Jan Boży. Młodzieniec chciał zakpić z żebraka i wystawić go na próbę. Darował mu więc okazałą sakiewkę dukatów, ale w chwilę potem przebrał się w łachmany, dogonił go w ciemnych uliczkach miasta i poprosił o pomoc, opowiadając zmyśloną historię swojego ubóstwa. Jan Boży, nie zastanawiając się długo, oddał mu wszystko, co przed momentem otrzymał i poszedł swoją drogą. Na drugi dzień markiz przybył do szpitala, by spotkać się z Janem, którego gest zrobił na nim wielkie wrażenie. Wówczas też zapytał go, czy przypadkiem nie został w drodze okradziony z sakiewki, którą od niego wieczorem otrzymał. – *Na Boga, nikt mnie nie okradł* – odpowiedział na to Jan Boży. Wtedy markiz zdradził mu swój podstęp i wręczył ponownie dar znacznie większy, niż poprzedniego dnia, dodając, aby uważał na to, komu pomaga, bo nie wszyscy mają

szczerze intencje. Jan Boży na taką uwagę zawsze odpowiadał prosto: *Mnie nie oszukuje. Niech raczej uważa na siebie, bo ja daję mu z miłości Bożej.*

Walka o dusze

Nad potrzeby ciała swoich podopiecznych Jan Boży stawiał potrzeby duszy, troszczył się o zbawienie nawet tych, którzy otwarcie szydzili z niego i nauki Kościoła. Święty miał szczególne nabożeństwo do Męki Pańskiej i piątek był dniem, kiedy z większą gorliwością wychodził na ulice miasta, by sprowadzać na drogi wiary tych, którzy z różnych powodów pobłądzili. Szedł ewangelizować nawet prostytutki, z których wiele udało mu się sprowadzić na dobrą drogę, stały się oddanymi żonami i pobożnymi niewiastami, a nawet pustelnicami, wiodącymi pokutnicze życie. Walka o dusze i próby ewangelizacji kobiet upadłych nie zawsze przynosiły jednak wielkie owoce. *Gdy jakąś z nich wydobywał, inne wyzywały go, znieślawiały i wypowiadały wiele wyzwisk oraz szkalowały, że czynił to w złym zamiarze.* Znana jest historia, kiedy to postanowił wraz z bratem posługującym w szpitalu pomóc czterem kobietom z domu publicznego, które skłonne były – pod wpływem jego zachęty – zmienić swoje życie. Nie wiedział, że zmówiły się one, aby wystawić go na pośmiewisko i wymyśliły historię, jakoby aby zakończyć z dotychczasowym życiem, muszą udać się do Toledo i załatwić tam pewne sprawy. Jan zgodził się im w tym pomóc, widząc w tym poświęceniu szansę na pozyskanie dusz dla Pana, zorganizował zwierzęta i zapasy do drogi, a sam szedł przy nich pieszo. Podróżni spotykający ich po drodze, niejednokrotnie szydzili i drwili na widok czterech kobiet w towarzystwie dwóch mężczyzn w łachmanach. Towarzysz Jana Bożego, zniecierpliwiony ilością obelg i niedwuznacznych pomówień, tracił cierpliwość, za to sam Jan trwał w milczeniu i pokorze. Po drodze jedna z kobiet niespodziewanie odłączyła się i uciekła od nich, natomiast w samym Toledo dwie następne również zbiegły. Na ten widok towarzysz Jana Bożego zaczął mu gwałtownie wyrzucać naiwność i marnowanie czasu oraz wysiłku na bezowocne działania. Święty odparł na te słowa: *Czyż nie pomyślałeś o tym, że gdybyś pojechał do Motril po cztery skrzynki ryb i po drodze trzy z nich zepsułyby się, i tylko jedna została dobra, czy wyrzucając trzy zepsute, wyrzuciłbyś z nimi także dobrą? Jeśli z czterech, które wyprowadziliśmy, pozostaje nam jedna, która okazuje dobre zamiary, na twoje życie, bądź cierpliwy, aż wrócimy z nią do Granady. Miejmy nadzieję w Bogu, że jeśli nam ona zostanie, nasza podróż nie będzie daremna ani nie będzie to mała korzyść.* Kobieta, która pozostała, poruszona postawą Jana Bożego, przemieniła swoje

życie, uczciwie wyszła za mąż, a po śmierci małżonka wiodła życie pobożne i cnotliwe.

Gorliwość i świadomość potrzeb, jakie dostrzegał wokół siebie wśród zagubionych ludzi, ich zniewolenie i trudności w powrocie na dobrą drogę, nie pozwalały Janowi Bożemu spać spokojnie. Wielokrotnie walczył on też o dusze ludzkie z diabłem, który starał mu się przeszkodzić na różne sposoby, również fizycznie mszcząc się za dobro, które czynił. Wiele razy widziano Jana poturbowanego, jego towarzysze, wspierający go w pracy pośród chorych, byli czasami świadkami tych walk, które toczył z szatanem pojawiającym się pod różnymi postaciami. Mimo dotkliwych razów na ciele, wychodził z nich zwycięsko.

Trzeba jednak przyznać, że nie brakowało też przeciwników działalności „żebraka z Granady”, którzy mu ubliżali i szemrali przeciwko niemu, mówiąc, że była to pewna odmiana szaleństwa, jaka mu pozostała od czasu, gdy chodził po ulicach pozbawiony rozumu. Twierdzili, że szybko upadnie, bo nie ma fundamentu. Dlatego mieli go na oku i podpatrywali, do jakich wchodzi domów, dowiadując się, co tam mówi i robi. Śledzili go także z ukrycia. Mimo uciążliwości i niesprawiedliwości, której doświadczał ze strony osób nieżyczliwych, zachowywał spokój i radość i nigdy nie widziano go wzburzonego lub podnieconego gniewem. Pan udzielał mu wielkiej cierpliwości do znoszenia tych utrapień. Z czasem też wrogo nastawieni do niego ludzie przekonywali się, że to człowiek święty i zawstydzeni zaprzestawali rozpowszechniania plotek i oszczerstw. Niektórzy mimo woli chwalili go i dawali mu jałmużnę, kiedy go spotykali. Kiedyś też zdarzyło się, że kobieta, którą wyprowadził z grzesznego życia i pomógł dobrze wyjść za mąż, nieustannie naprzykrzała mu się, przychodząc do niego co chwila po prośbie. On za każdym razem pomagał jej, a gdy zdarzyło się, że nie miał jej już co dać i ofiarował jej własny płaszcz, wówczas ona napadła na niego i zaczęła mu publicznie ubliżać. Jan Boży odparł na to: *Wcześniej czy później i tak muszę ci przebaczyć. Zatem przebaczam ci już teraz.* Ta sama kobieta w dniu pogrzebu świętego szła na czele procesji żałobnej, lamentując nad swoją grzesznością, spowiadając się publicznie ze swoich złości i chwając przykład Jana Bożego, dzięki któremu zrozumiała swe postępowanie.

Wielkie dzieło

Pan wezwał do siebie Jana Bożego 8 marca 1550 roku, po 55 latach życia. Jego śmierć wiązała się również z aktem miłosierdzia, gdyż, chcąc ratować chłopca, którego porwał nurt rzeki, bez wahania wskoczył w lodowate fale i wyłowił go. Przyplacił to

ciężką chorobą. Zanim pożegnał się z tym światem, zdążył jeszcze ostatkiem sił odwiedzić wszystkich swoich dobroczyńców i podziękować im za pomoc oraz dokładnie spisać wszelkie należności, które zalecił spłacić swym współpracownikom. Umarł w nocy, zatopiony w głębokiej modlitwie i pozostał w postawie klęczącej przez następne 6 godzin po śmierci.

Nikt nie widział wcześniej takich tłumów, jak w dniu pogrzebu Jana Bożego. Przybyli na niego osoby z różnych stanów od najuboższych i chorych, którymi się zajmował, po dostojników kościelnych i możnych panów, których przedstawiciele zapragnęli w hołdzie nieść trumnę zmarłego. Pozostawił on w duchowym testamencie swoim współpracownikom, którzy kontynuowali rozpoczęte przez niego dzieło, troskę o tych najbardziej potrzebujących nie tylko w szpitalu, ale w jadalni, przytułku i wszędzie tam, gdzie będzie to potrzebne. Kanonizacja świętego z Granady odbyła się w 1690 r., zaś Zakon Braci Miłosierdzia, który zainspirował swą działalnością Jan Boży, powstał w roku 1572, za zgodą papieża Piusa V. Bonifratrzy, bo tak też są dziś nazywani, jak obiecał Jezus ich założycielowi, posługują od wieków wiernie temu samemu charyzmatowi.

Na podstawie: Francisco de Castro, *Historia życia i świętobliwe dzieła Jana Bożego*; Wilhelm Hunermann, *Żebrek z Granady*; www.bonifratrzy.pl



Błogosławiony czas sam na sam

Pojechałem na rekolekcje ignacjańskie, które były czasem spędzonym z Bogiem sam na sam.

Bardzo ważną kwestią (wydaje mi się) był sposób, w jaki tam dotarłem. Wszystko zaczęło się dwa lata wcześniej. Moja - wtedy jeszcze - narzeczona opowiedziała mi o tych rekolekcjach, a mówiąc o nich, była rozradowana. Wtedy zrodziła mi się myśl o wyjeździe na owe rekolekcje, wiedziałem jednak, że sam - z powodu niepełnosprawności - tam nie dojadę i wtedy powiedziałem Bogu: „Sam nie dam rady dotrzeć na te rekolekcje, ale jeśli załatwisz mi transport, to obiecuję, że pojadę”. Miałem pragnienie być na takich rekolekcjach, usłyszeć, jak Pan mówi do mnie i obiecałem, że odpowiem na to wezwanie. Czekałem ponad rok, aż tu nagle dowiedziałem się, że koleżanki ze wspólnoty planują wyjazd właśnie na rekolekcje ignacjańskie, więc także się zapisałem. Dziewczyna, z którą mieliśmy jechać, zdecydowała, że jednak nie zaryzykuje i nie wybierze się w tak daleką trasę z powodu niesprawności samochodu. Zrobiło mi się przykro, jednak tydzień przed wyjazdem Pan znalazł kolejną osobę, z którą wszyscy razem mogliśmy pojechać do ośrodka rekolekcyjnego. Już po tym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że dwa lata wcześniej Bóg posłużył się moją narzeczoną, by rozpałić we mnie pragnienie przeżycia tych rekolekcji, potem posłużył się koleżankami, które popchnęły mnie do odpowiedzi na moją obietnicę daną Bogu, a gdy pojawiło się zagrożenie, że jednak nie pojedziemy, Pan posłużył się kolejną osobą, by nas przyprowadzić do Siebie. Zobaczyłem, że nawet wtedy, gdy po ludzku utrapienia nie da się rozwiązać, Pan zawsze znajdzie sposób, by temu zaradzić. Dla nas może to wydaje się niemożliwe, ale dla Boga nie ma problemów nie do rozwiązania.

Wiedziałem, co to za rekolekcje, znałem ich zasady i być może dlatego łatwo było mi wejść w ciszę, która jest jednym z ich warunków. Nie da się usłyszeć mówiącego do nas Boga, zagłuszając go rozmową z koleżanką lub kolegą. Zanim rozpoczęło się milczenie, ustaliliśmy ze współlokatorem, że nie będziemy sobie przeszkadzać w przeżywaniu rekolekcji, bo obaj wiedzieliśmy, po co tam jesteśmy. W tym miejscu muszę powiedzieć, że modliłem się o takiego lokatora, który nie będzie mnie rozpraszał w przeżywaniu tego czasu i rzeczywiście sobie nie przeszkadzaliśmy. Jako osoba z niepełnosprawnością potrzebowałem pomocy, np. przy obiedzie i muszę powiedzieć, że otrzymałem

ją, a nawet i więcej. Posłużę się przykładem: na obiad panie ze stołówki przygotowały kotleta schabowego - niby nic, co mogłoby przysparzać problemów, a ja zastanawiałem się, jak tu go pokroić. Poszedłem więc do kierownika duchowego poprosić o pomoc (była to kobieta). Oczywiście przyszła, pokroiła tego kotleta, ale nałożyła mi też ziemniaczki. Uradowałem się bardzo, że w tej jakże prostej i wydawałoby się zwyczajnej sytuacji zobaczyłem wielką miłość naszego Pana i to że jeżeli o coś Go prosimy, to otrzymujemy nawet więcej, niż się spodziewamy.

Wracając do treści rekolekcji. Codziennie rano o godzinie 7:00 była pierwsza medytacja, o 12:00 kolejna, a po obiedzie - trzecia. Nigdy nie zagłębiałem się aż tak we fragmenty Pisma Świętego, w przypowieści, chociaż już wcześniej wiedziałem, że Bóg przez nie zwraca się do mnie. Nie rozumiałem ich, pewnie też dlatego, że żyjemy ciągle gdzieś się spiesząc, nie mamy czasu na refleksję nad Słowem Bożym, a niejednokrotnie nawet nie chcemy się zastanawiać nad nim. Poddając się refleksji nad zadaniem fragmentem Pisma Świętego mogłem zobaczyć, jak przez nie Pan mówił i mówi do mnie i to przez konkretne sytuacje z mojego życia. Bóg pokazał mi, że jestem popękany, kruchy, bojaźliwy, skupiam się na tym, co na zewnątrz, zamiast patrzeć na samego Boga, że nurtuje mnie zbyt wiele spraw. Przekonywał mnie, że jestem Jego dzieckiem i codziennie zaprasza mnie na ucztę, gdzie stół jest suto zastawiony, chce mnie uzdrowić, a ja boję się, że stracę to, co mam, boję się ośmieszenia. To wszystko i wiele innych spraw, które pokazał mi Pan, blokują mnie na Jego łaski. Bóg chce nam tak wiele ofiarować, ale boimy się przyjąć ogrom darów. Zobaczyłem, jak po ludzku jestem niedoskonałym naczyniem, ale Pan mi powiedział: „Takiego cię stworzyłem i dla mnie jesteś arcydziełem”. Bardzo często nie dostrzegamy tego, jak wiele otrzymaliśmy, jak wiele talentów i zdolności posiadamy, skupiamy się na tym, czego nie mamy, na brakach, na naszej niedoli i właśnie takie myślenie nie pozwala nam dostrzec Boga stojącego obok nas. Zapatrzenie w nasz ból, w nasze niedostatki, nie pozwala nam rozpoznać Boga, tak jak Marii Magdalenie po zmartwychwstaniu. Teraz już jestem pewien, że fundamentem jest Miłość. Chwała Panu za to, co uczynił w moim życiu do tej pory, a także za to, co jeszcze dla mnie przygotowuje.

Piotr



fol. Tomasz Książczak

Ewa Leszczyłowska

Wybrane strategie nieprzyjaciela

Księga Nehemiasza opisuje odbudowę Jerozolimy wraz z jej świątynią po przybyciu Żydów z niewoli babilońskiej. Kiedy repatrianci przystąpili do tego zadania, zdali sobie sprawę z rozlicznych trudności. Odbudowa wymagała ciężkiej i ofiarnej pracy, trudzono się przy niej od świtu aż do zmierzchu. Ponadto ludy zamieszkujące w sąsiedztwie odnosiły się bardzo wrogo do odbudowy. Postanowiły zatem razem walczyć przeciw Jerozolimie. Najpierw budujący spotkali się z drwinami i obelgami, kiedy jednak nic to nie dało

i prace były kontynuowane, wówczas zaplanowano zbrojny napad. Izraelici dowiedzieli się o tym i podjęli odpowiednie działania, aby w razie konieczności być gotowymi do prowadzenia walki. W *Księdze Nehemiasza* czytamy: *Odtąd tylko połowa moich ludzi zajęta była pracą, a druga połowa miała włócznie, tarcze, łuki i pancerze; a wodzowie stali za całym domem judzkim odbudowującym mur. Dźwigający ciężar również byli uzbrojeni: jedną ręką wykonywali pracę, a drugą trzymali oszczep. A co do murarzy, to każdy, mając*



miecz swój przepasany u boku, budował (4,10-12). W ten sposób został udaremniony podstęp nieprzyjaciół, a mury Jerozolimy zostały odbudowane.

Ten biblijny opis odbudowy świątyni możemy odnieść do naszego życia duchowego. Każdy z nas jest świątynią Ducha Świętego, która została - tak jak świątynia jerozolimska - zniszczona przez naszą niewierność i grzech. Bóg chce nas odbudować, przywrócić pierwotną piękność, ale potrzebuje naszej współpracy. *Księga Nehemiasza* poucza nas, że w dziele odbudowy świątyni naszych serc napotkamy wiele trudności. Będziemy musieli podjąć walkę duchową, bo nieprzyjaciel natury ludzkiej będzie próbował na różne sposoby zawrócić nas z drogi wiary. Aby odciągnąć nas od Boga, stosuje rozmaite taktyki. Bardzo ważne w życiu duchowym jest poznać jego sposób działania. Św. Ignacy z Loyoli opisał strategię działania złego w regułach rozeznawania duchowego. Przyjrzyjmy się trzem z nich, wybranym z I tygodnia ćwiczeń duchowych.

STRATEGIA I

Reguła 12. *Nieprzyjaciel zachowuje się jak kobieta, która ma słabe siły, ale mocne chęci. Właściwością kobiety jest, że kiedy podczas kłótni z jakimś mężczyzną ten się okaże być silnym, traci ducha, i ratuje się ucieczką, a kiedy jest przeciwnie i mężczyzna traci ducha i ucieka, ogromnie wzrasta gniew, mściwość i gwałtowność kobiety. Tak też nieprzyjaciel słabnie i traci ducha i ucieka ze swymi pokusami, jeżeli osoba ćwicząca się w sprawach duchownych nieustraszenie się opiera pokusom nieprzyjaciela, postępując w całkiem odwrotny sposób. A jeżeli przeciwnie: człowiek odprawiający ćwiczenia zaczyna odczuwać trwogę i tracić ducha, kiedy cierpi pokusy, nie ma tak dzikiego zwierzęcia na powierzchni ziemi, jak nieprzyjaciel ludzkiej natury, kiedy realizuje swoje przewrotne zamiary z tak wielką złośliwością.*

Reguła dwunasta jest właściwie komentarzem i rozwinięciem myśli zawartej w *Liście św. Jakuba: Bądźcie więc poddani Bogu, przeciwstawiajcie się natomiast diabłu, a ucieknie od was* (4,7). Św. Ignacy mówi w niej, że diabeł jest mistrzem mistyfikacji, że tak naprawdę jest słaby i zwycięża tylko tych, którzy dają się zastraszyć. Kiedy jednak przeciwstawiamy się mu, ucieka.

Diabeł atakuje nas często przez wzbudzanie lęku. Przedstawia różne czarne scenariusze. Konstruuje je tak, że wydają się bardzo realne, ponieważ zna historię naszego życia, nasze słabości, obawy, zranienia. Jeśli damy się zwieść i, zamiast zawierzyć Bogu, ulegniemy tym lękom, zły duch będzie w nas wzbudzał kolejne i kolejne. W konsekwencji nie wzrastamy w wolności dzieci Bożych, a stajemy się niewolnikami, którzy próbują zaklinać rzeczywistość. Św. Ignacy i św. Jakub mówią, że jest tylko jeden sposób, by pokonać złego: trzeba przylgnąć do Boga i nie dać się zastraszyć, bez względu na okoliczności. Nie możemy pozwolić, żeby naszym życiem kierował lęk. W żadnej sytuacji, nawet tej najtrudniejszej, nie jesteśmy sami. Jest z nami Bóg i On nas poprowadzi. Maria Jurczyńska, kiedy ktoś zamartwiał się jakąś trudną sytuacją, zadawała mu pytanie: „Czy Pan Bóg o tym nie wie?”. To pytanie również powinniśmy sobie zadawać, ilekroć jesteśmy kuszeni do zniechęcenia czy utraty nadziei. Ono może wyrwać nas ze skoncentrowania na sobie i problemach, by zaufać Bogu i zawierzyć Mu swoje życie.

Regułę tę możemy również odnieść do sytuacji pokusy w naszym życiu. Trzeba wtedy unikać postawy niejednoznacznej, niejasnej, wchodzenia w dialog ze złem. Należy odrzucić zło z całą mocą, by nie dać się mu uwikłać. Pokusę najłatwiej pokonać na początku, kiedy tylko ją rozpoznamy, np. gdy otrzymujemy korzystną materialnie propozycję, ale z drugiej strony wiemy, że jest ona nieuczciwa. Najlepiej odrzucić ją od razu, zanim się w nas rozpanoszy i nabierze siły. Nie będziemy wtedy tracić czasu na często jałowe rozważania wszystkich za i przeciw, np. że „to jest tylko trochę nieuczciwe”, albo „jak się wzbogacę, to dam ofiarę na biednych” itp. Musimy przeciwstawić się złu, nie możemy karmić pokusy. Takie szybkie odrzucenie jej sprawia, że ona umiera w nas i stajemy się wolni.

STRATEGIA II

Reguła 13. *[Nieprzyjaciel] zachowuje się podobnie jak uwodziciel, który chce być ukryty i nie ujawniony. Człowiek przewrotny, który słowami wypowiedzanymi w złym celu przyciąga do siebie córkę jakiegoś dobrego ojca albo żonę jakiegoś dobrego męża, pragnie, by jego słowa i namowy pozostały w ukryciu, i przeciwnie: bardzo mu się*

nie podoba, jeżeli córka ojcu, a żona mężowi swemu ujawni jego puste słowa i przewrotny zamiar, łatwo bowiem zrozumie, że nie będzie mógł doprowadzić do końca tego, co zaczął. Podobnie [postępuje] nieprzyjaciel natury ludzkiej, bo kiedy podsuwa duszy ludzkiej swoje chytre namowy, chce i pragnie, by je w tajemnicy przyjęto i zachowano. Kiedy jednak [człowiek] wyjawi je swemu dobremu spowiednikowi albo innej osobie duchownej, która umie rozpoznać jego podstępny i złośliwy, bardzo mu się to nie podoba, uświadamia sobie bowiem, że nie będzie mógł doprowadzić do końca złośliwości rozpoczętej, ponieważ jego oczywiste podstępny odkryto.

Nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie, dlatego tak istotne jest, by radzić się w sprawach naszego życia duchowego osób duchowych. Szczególnie jest to ważne w sytuacji dokonywania jakichś wyborów, przeżywania dylematów czy pokus. Król Salomon słynął w całym świecie ze swej mądrości, a jednak sprzeniewierzył się Bogu, poddając się wpływowi swoich pogańskich żon. Historia ta pokazuje, że możemy dawać najlepsze rady innym, ale w swojej sprawie dać się łatwo zwieść. A to dlatego, że często brak nam wolności wobec własnej osoby, krepują nas względy ludzkie, a ostrość widzenia jest zacierana przez nieuporządkowania naszego serca. Duch zły to wie i dlatego nakłania nas do tego, by z nikim nie dzielić się swoimi problemami. Wie on również i to, że człowiek w pojedynkę jest dużo łatwiejszy do pokonania. W *Księdze Nehemiasza* czytamy, że kierujący pracą odbudowy murów Jerozolimy Nehemiasz, w obliczu niebezpieczeństwa, ustanowił system ostrzegania, tak by w razie ataku nieprzyjaciela Izraelici mogli się zgromadzić, by wspólnie dać odpór przeciwnikowi. *I rzekłem do możnych, do zwierzchników i do reszty ludzi: „Praca jest różnorodna i rozległa, a myśmy rozdzieleni na murze, jeden z dala od drugiego. Na miejscu, gdzie usłyszycie głos trąby, tam się przy nas zgromadźcie! Bóg nasz będzie za nas walczył”* (4,13-14). Nikt z nas nie jest samotną wyspą, jesteśmy darem jeden dla drugiego. Dlatego powinniśmy uczyć się w prostocie serca swoje problemy polecać innym, tym, których Bóg nam daje do pomocy. Wymaga to od nas postawy pokory, diabeł może nas bowiem kusić do samowystarczalności,

możemy odczuwać bunt w sercu: „Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić”. Oczywiście nie chodzi o to, by ktoś nami sterował, bo decyzje musimy podejmować sami, ale przecież dobrze jest zasięgnąć rady, tak jak szukamy jej u specjalistów w innych sferach naszego życia, np. finansowych czy zdrowotnych.



fot. Jerzy Ciesielski

Ta reguła okazuje się szczególnie trudna do zastosowania dla osób zamkniętych w sobie. Ten brak otwartości często jest wynikiem doznanych w przeszłości zranień. Osoby te, wzrastając w środowisku, w którym ich pragnienia i potrzeby były ignorowane czy wręcz ośmieszane, nauczyły się, że muszą sobie w życiu radzić same, że nie mogą na nikogo liczyć. Przy próbie otwarcia się zły duch wzbudza w nich obawę przed tym, co inni sobie o nich pomyślą oraz że się ośmieszą. Jednak zastosowanie tej reguły będzie dla nich lekarstwem, może z początku trochę gorzkim, ono jednak wyprowadzi

ich z głębokiej izolacji, w której żyją i która jest dla nich duchowym więzieniem.

Trzeba podkreślić, że św. Ignacy mówi, żeby szukać rady u odpowiedniej osoby: dobrego spowiednika albo osoby, która *umie rozpoznać podstępny i złośliwy zły duch*. Zdarzają się sytuacje, że osoba zwierza się ze swoich trudności komuś, kto nie może jej pomóc - bo ma np. taki sam problem i też nie wie, jak sobie z nim poradzić - jednocześnie bardzo trudno przychodzi jej otworzyć się przed kimś, kto byłby w tej sytuacji pomocny. Różne są przyczyny takiego postępowania. Mogą to być: fałszywy wstyd, obawa przed odrzuceniem, a czasem to, że tak w głębi serca nie chcemy nic w naszym życiu zmienić, nie jesteśmy na to gotowi, czy jest nam z tym problemem w pewnym sensie dobrze. Oczywiście zły duch wykorzystuje te słabości, aby oddalić nas od Boga i od osób, którymi On chce się posłużyć.

STRATEGIA III

Reguła 14. *[Nieprzyjaciel] zachowuje się podobnie jak dowódca, który chce zwyciężyć i zebrać łup. Dowódca bowiem i wódz wojska zakłada obóz i po zbadaniu sił i położenia zamku atakuje go od najsłabszej strony. W podobny sposób [postępuje] nieprzyjaciel natury ludzkiej: krąży, bada ze wszystkich stron wszystkie nasze cnoty teologalne, główne i moralne i atakuje nas oraz próbuje zwyciężyć tam, gdzie nas znajdzie słabszymi i gdzie nam więcej brakuje do zbawienia wiecznego.*

We wzroście duchowym bardzo ważne jest, żeby poznać swoje słabe strony, bo one będą wykorzystane przez złego ducha. W *Księdze Nehemiasza* czytamy: *I wyruszyłem nocą przez Bramę nad Dolinę, potem obok Źródła Smoczego do Bramy Śmietników; i badałem mury Jerozolimy, które miały wylomy, a bramy jej były strawione ogniem. (...) I szedłem nocą wąwozem w górę i badałem mur* (2,13-15). Jak Nehemiasz obchodził mury Jerozolimy, żeby zbadać, w którym miejscu są najsłabsze, tak samo musimy odkrywać swoje wady, złe skłonności i nawyki. To one są często przyczyną naszych upadków. Kiedy już poznamy te słabe miejsca, będziemy musieli je umocnić, jak Nehemiasz wzmacniał mury Jerozolimy: *Wtedy w punktach zagrożonych wyznaczyłem poza murem szereg kryjówek i umieściłem tam lud według rodów z mieczami, włóczniami i łukami. Gdy widziałem, [że się boją], wstałem i rzekłem do możnych, do zwierzchników i do reszty ludu: „Nie bójcie się ich! Na Pana wielkiego i strasznego pamiętajcie i walczcie za braci swoich, za synów swoich i córki, za żony swoje i domy!”* (4,7-8).

Wiele jest słabości i wad, które mogą być zaatakowane przez złego. Wymownym przykładem może tu być postawa lenistwa, umiłowania wygody i unikania trudu. Uleganie tym słabościom prowokuje różne grzechy. Zły wykorzystuje naszą beczyność czy umiłowanie przyjemności, by zasiewać swoje zatrute ziarna. Podsuwa nam różne pokusy, które mają osobie znudzonej dostarczyć przyjemności czy rozrywki. Może też działać na naszą psychikę przez obniżanie nastroju, podsuwanie czarnych scenariuszy, pogłębianie myśli depresyjnych, czy odczuwania bezsensu życia.

Tendencja do izolacji jest kolejną postawą, która otwiera nas na działanie złego. Są osoby, które z powodu licznych zranień nauczyły się żyć w izolacji i przyzwyczyły się do niej. Mimo że Bóg wyprowadza ich z tej samotności, to jednak czasem zdarza się, że powracają one do tego stanu, wpadają weń jak w utarte koleiny, a to wykorzystuje zły duch. Kiedy człowiek jest wyizolowany, łatwiej naraża się na jego podstępny. Diabeł podsuwa takiej osobie cały zestaw negatywnych myśli. Mogą to być myśli negujące własną osobę, inne osoby, myśli podważające sens tego, co się robi i inne. Trudno jest się samemu obronić przed tym nawałem zła. Skuteczną i można powiedzieć, że jedyną pomocą w wyjściu z tej opresji jest przerwanie izolacji poprzez otwarcie się na Boga i innych ludzi.

Są osoby, które nadmiernie się troskają i niepokoją, nawet o sprawy, które ich bezpośrednio nie dotyczą. Dobrze jest zobaczyć w sobie taką skłonność, bo w różnych sytuacjach zły duch będzie powiększał te obawy, siejąc niepokój i zamieszanie. Nie można dać się wtedy zwieść, bo gdy emocje opadną, zwykle okazuje się, że jest to burza w szklance wody.

Nie sposób wymienić wszystkich słabości i wad, które mogą być zaatakowane przez złego. Nieprzyjaciel natury ludzkiej może wykorzystać w nas każde nieuporządkowanie, jeśli nawet nie skłoni nas od razu do grzechu, to przez wiele lat może trzymać na uwięzi naszych pożytków, np. nadmiernej chęci posiadania, znaczenia czy nieuporządkowanych relacji. Sytuacja ta sprawi, że nie rozwiniemy się duchowo, a staniemy się duchowymi karłami.

Na koniec należy podkreślić, że w tej pracy nad sobą - poznania siebie, odkrywania podstępów nieprzyjaciela, pokonywania złego - nie jesteśmy sami. To Jezus przez Swego Ducha będzie nas prowadził, oświecał i umacniał. To On jest naszą siłą i w Nim jest nasze zwycięstwo. Zatem nie uciekajmy przed prawdą o nas samych, która przede wszystkim mówi, że jesteśmy umiłowaniem dziećmi Boga, chociaż zdajemy sobie sprawę również z tego, że jest w nas wiele nędzy i słabości. Duch Święty pokazuje nam je oczywiście nie po to, by nas umniejszyć, ale byśmy oddali je Jezusowi i w Jego mocy mogli je pokonać.



Renata Czerwińska

W Imię Jezusa, chodź!

Kiedy długo na coś czekamy, zaczynamy tracić nadzieję. Nieraz nie spodziewamy się już, że Bóg mógłby coś zmienić w naszym życiu. Tymczasem On chce dawać znacznie więcej, niż oczekujemy. Jak pisze autor *Księgi Jozuego: Ze wszystkich dobrych obietnic, które Pan uczynił domowi Izraela, żadna nie zawiodła, lecz każda się spełniła* (Joz 21,45). Posłuchajmy opowieści o człowieku, który po ponad czterdziestu latach został uzdrowiony ze swojej choroby (por. Dz 3,1 - 4,22).

Gdy Piotr i Jan wchodzili do świątyni na modlitwę o godzinie dziewiątej, wnoszono właśnie pewnego człowieka, chromego od urodzenia. Kładziono go codziennie przy bramie świątyni, zwanej Piękną, aby wstępujących do świątyni prosił o jałmużnę.

Zwróćmy uwagę, że bohaterowie tego fragmentu podążają w dwóch zupełnie różnych kierunkach. Piotr i Jan, wierni modlitwie, idą do świątyni. Uczyli się tej postawy, modląc się wytrwale w Wieczerniku w oczekiwaniu na Ducha Świętego, ale i wcześniej, patrząc, jak rozmawia z Ojcem ich Mistrz i Nauczyciel. Tymczasem człowiek chory nie wstępuje do świątyni na modlitwę. W tym czasie ma siedzieć pod jej bramą, aby prosić o jałmużnę. Co za kontrast – brama zwana Piękną i... siedzący pod nią żebrak, potrząsający blaszaną miską. Święty Łukasz nieprzypadkowo używa nieosobowej formy czasownika: „wnoszono”, „kładziono”, sugerując, że chory traktowany jest jak ktoś obcy, obojętny, niemal jak rzecz. Jakże inaczej wyglądała scena, kiedy czterech ludzi przyniosło paralytyka do Jezusa! Nie mogąc przepchać się przez zgromadzony tłum, weszli oni na dach i rozebrali go, aby ich przyjaciel

mógł spotkać się z Jezusem i zostać uzdrowiony (por. Łk 5,17-26).

Zobaczywszy Piotra i Jana, gdy mieli wejść do świątyni, prosił ich o jałmużnę. Lecz Piotr wraz z Janem, przypatrzwszy się mu, powiedział: „Spójrz na nas!”. A on patrzył na nich, oczekując od nich jałmużny.

Piotr celowo prosi, aby chory spojrzał na Apostołów. Aby to zrobić, musiałby podnieść głowę. A przecież „podnieść głowę” znaczy „odzyskać godność”. Jednak chory dalej patrzy na nich, oczekując jałmużny. Przez wiele lat poniżenia można się przyzwyczaić do tego, że trzeba żebrać – nie tylko o pieniądze, ale o zainteresowanie, o przyjaźń, o miłość. Można uwierzyć, że to, co oczywiste, człowiekowi się nie należy. A przecież Bóg stworzył człowieka na Swój obraz, a *wszystko, co uczynił, było bardzo dobre* (Rdz 1,31), autor *Księgi Mądrości* tak natomiast pisze o miłości Bożej i wynikającej stąd godności człowieka: *Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia, niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś, bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił. Jakżeby coś trwać mogło, gdybyś Ty tego nie chciał? Jak by się zachowało, czego byś nie wezwał? Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku życia!* (Mdr 11,24-26).

„Nie mam srebra ani złota - powiedział Piotr - ale co mam, to ci daję: W imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka, chodź!” I ująwszy go za prawą rękę, podniósł go.

Apostołowie rzeczywiście nie posiadali tego, czego oczekiwał od nich chory człowiek, dzielili się jednak Tym, kto był dla nich najcenniejszy. *Nie możemy nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli* - powiedzą później. Przypominają jednak chromemu nie tylko postać Jezusa z Nazaretu, *który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu* (Łk 24,19). Piotr, przemieniony Duchem Świętym, naśladuje także gesty swojego Mistrza, który nie brzydził się dotknąć chorego, trędowatego, grzesznika: pochyla się nad chorym i podaje mu rękę. Pochyla się – a więc zniża się, nie patrzy z góry. Podobnie gest podania ręki nie oznacza tylko pomocy fizycznej – to także znak braterstwa. Podajemy rękę, aby się przywitać, ale także w momencie pojednania. Poprzez zwykły, ludzki gest chory przestał być traktowany bezosobowo.

A on natychmiast odzyskał władzę w nogach i stopach. Zerwał się i stanął na nogach, i chodził, i wszedł z nimi do świątyni, chodząc, skacząc i

wielbiąc Boga. A cały lud zobaczył go chodzącego i chwającego Boga. I rozpoznawali w nim tego człowieka, który siadał przy Pięknej Bramie świątyni, aby żebrać, i ogarnęło ich zdumienie i zachwyt z powodu tego, co go spotkało.

Chromy uzdrowiony mocą Chrystusa wreszcie czyni to, co do niego należy: wchodzi do świątyni i uwielbia Boga. Jak pisze św. Ignacy: *Człowiek został stworzony, aby Boga, naszego Pana, wielbił, okazywał Mu cześć, służył Mu – a dzięki temu zbawił duszę swoją*. Odzyskuje godność, odzyskuje nadzieję co do swojego życia. W książce *Jesteś obrazem Boga* ks. John Bashobora zwraca uwagę na piękno powołania i tożsamości chrześcijańskiej. Pyta jednakże czytelnika, czy służy darami, które zostały mu dane w trakcie chrztu świętego i bierzmowania. Jak widać, uzdrowiony od razu korzysta z tego, co otrzymał, dając w tym momencie świadectwo.

Znamienne, że świadków tego wydarzenia ogarnia nie zazdrość, ale zdumienie i zachwyt. Taka postawa prowadzi do wdzięczności, do rozważania tego, co Bóg uczynił dla nich osobiście. W ten sposób pomnaża się nadzieja i buduje wiara.

A gdy on trzymał się Piotra i Jana...

Uzdrowiony człowiek trzyma się Piotra i Jana – to dobra decyzja. Co prawda też razem z nimi zostanie tego wieczoru uwięziony – ale w tym czasie usłyszy jednak katechezę (Dz 3,12-26. 4,8-12) i świadectwo Apostołów (Dz 4,18-20), pozna więc podstawy wiary i zostanie w niej utwierdzony. Nieraz mówi się, że Piotr symbolizuje Kościół hierarchiczny, a Jan – charyzmatyczny. Dobrze jest trzymać się Kościoła, wspólnoty, środowiska wiary – nawet jeśli nieraz wiąże się to z cierpieniem – aby wobec przeciwności wytrwać w wierze i nie zatracić swojej tożsamości.

Człowiek, który doznał tego cudownego uzdrowienia, miał ponad czterdzieści lat.

Czy cierpiąc tak długo, mógł się spodziewać, że cokolwiek w jego życiu się zmieni? Czy nie mógłby za Nikodemem powtórzyć, że człowiek dojrzały nie może przecież wejść do łona matki, by na nowo się narodzić? (por. J 3,4). A jednak Bóg, który jest Panem czasu, obdarował go nowym życiem. Jak napisze wiele wieków później św. Bernard z Clairvaux: *Smuci się kto z was? Niech tylko Jezus przyjdzie do jego serca, niech wypłynie na jego usta - a oto wobec światłości Jego Imienia pierzchnie każda chmura i powróci wesele*.



Reportaż z rekolekcji
z ks. Johnem Bashoborą

Albowiem nie w słowie, lecz w mocy przejawia się królestwo Boże (1 Kor 4,20)

W dniach 28 lutego – 2 marca br. prawie 1800 osób z całej Polski zgromadziło się na rekolekcjach z ks. Johnem Bashoborą – misjonarzem pochodzącym z Ugandy. Pomimo tak wielkiego zgromadzenia już od progów recepcji czuć było pokój rozlewający się wśród uczestników. Przygotowując się na przybycie ks. Johna, rozpoczęliśmy wspólną modlitwę Koronką do Bożego Miłosierdzia. Następnie prosiliśmy Ducha Świętego, by otwierał nasze serca na Swoje działanie, na słowo, które usłyszymy.

Głoszenie słowa ks. Bashobora rozpoczął od modlitwy nie tylko za wszystkich uczestników, ale także za całą naszą ojczyznę. Zachęcał nas do świadomego przeżywania obecności Ducha Świętego w życiu każdego z nas, do „odkopania” Jego darów udzielonych nam w sakramentach chrztu świętego i bierzmowania. One mają nas uświęcać, upodabniać do Jezusa. Przypomniał także wagę regularnego korzystania z sakramentu pokuty i pojednania oraz jak najczęstszego przyjmowania Jezusa w Komunii świętej. Głosił, że Bóg mówi do każdego z nas, że ma plan dla naszego życia, plan pełen pokoju i nadziei.

Zwieńczeniem tego dnia była Eucharystia, a następnie adoracja Najświętszego Sakramentu, w czasie której Jezus w monstrancji przechadzał się między nami i błogosławił nam. Dla wielu był to czas doświadczania bliskości Jezusa.

W zagadnieniach poruszanych w trakcie sobotnich konferencji powracał temat przyczyn, które blokują nas na doświadczenie obecności i działania Ducha Świętego. Jednym z głównych powodów jest trwanie w grzechu i nieprzystępowanie regularnie do sakramentu pokuty i pojednania. Przeszkodą w działaniu Ducha Świętego może być także tkwiący głęboko w naszym sercu brak przebaczenia. Życie w łasce uświęcającej i przebaczenie tym, którzy nas skrzywdzili, to główne warunki, by móc otworzyć swoje serce na przyjęcie uzdrawiającej miłości Jezusa. Trwanie na modlitwie uzdalnia nas do bycia narzędziami Ducha Świętego, do tego, by On mógł nas posyłać tam, gdzie chce.

Mieliśmy również okazję poznać dwoje wychowanków ks. Johna, którzy mogą się dalej kształcić dzięki fundacji, jaką założył ks. Bashobora.

Opowiedzieli oni o działalności fundacji i o tym, jak im pomaga. Nauczyli również uczestników polsko-angielskiej piosenki, którą wspólnie zaśpiewaliśmy. Warto dodać, że fundacja założona przez ks. Johna ma pod swoją opieką kilka tysięcy dzieci i młodzieży.

Kolejne konferencje przeplatane były modlitwą – gorącym wołaniem o dar prawdziwej wolności dzieci Bożych, o przebaczenie, o uzdrowienie ciał, umysłów i serc, a przede wszystkim o napełnienie Duchem Świętym. Wzywaniu Ducha Świętego – ducha radości zaowocowało gromkim i szczerym śmiechem, rozlewającym się wśród uczestników rekolekcji. Ks. John przywołał Dzień Pięćdziesiąticy – bo rzeczywiście ktoś, patrząc z boku, mógłby powiedzieć, że byliśmy jakby pijani – radością Ducha Świętego. Zostaliśmy wezwani do wierności, by trwać w błogosławieństwie pomimo prób i przeciwności i nie dać sobie odebrać radości i pokoju, które daje Duch Święty. Dary, które otrzymaliśmy, są dane, by głosić Królestwo Boże tam, gdzie żyjemy – w naszej codzienności. Ks. Bashobora podkreślił wagę zaangażowania świeckich w głoszeniu Jezusa w łączności z kapłanami, biskupami i papieżem.

Przez wiele godzin głoszonym konferencjom towarzyszyła cicha posługa kapłanów w sakramencie pokuty i pojednania. Czekali na wszystkich, których poruszały kolejne wezwania do rachunku sumienia i spotkania się z Jezusem, który przebacza grzechy. Do prowizorycznych konfesjonałów ustawiały się długie kolejki tych, którzy pragnęli przeżyć zbliżając się Eucharystię z czystym sercem. W czasie homilii szczególnym momentem była modlitwa za wszystkie obecne dzieci i matki oczekujące potomstwa. Na to wezwanie z każdego zakątka sali zauważyć się dało ruch, tak że po chwili przed ołtarzem zebrał się tłum dzieci i matek. Wszyscy kapłani wyciągnęli nad nimi ręce, błogosławiąc ich, a potem – tak jak w Ewangelii – podeszli, by każde z nich wziąć w objęcia. Po Eucharystii nastął czas doświadczenia dosłownie na własnej skórze Bożego błogosławieństwa przez wszystkich uczestników. W czasie adoracji Najświętszego Sakramentu obecni kapłani ruszyli w tłum, by nakładając ręce na nasze głowy, prosić o Ducha Świętego dla każdego; Ducha, który ma moc uzdrowić nasze ciała i dusze; Ducha,

który uzdalnia nas, by trwać w jedności z Jezusem tam, gdzie żyjemy.

Niedziela była dniem podsumowującym rekolekcje. Nie zabrakło świadectw tych, którzy doświadczyli uzdrowienia czy napełnienia Duchem Świętym. Ks. John zachęcał uczestników, by darów, które mamy i które właśnie otrzymaliśmy, nie zatrzymywać dla siebie, lecz wykorzystać dla budowania Kościoła. Zapraszał do tego, by trwać w łasce uświęcającej, szukać środowisk, w których nasza wiara może się rozwijać, tak aby Duch Święty mógł w nas coraz bardziej działać, przynosząc Swoje owoce: miłość, radość, pokój etc. Wzywał do nieustannej modlitwy nie tylko za Kościół, ale także za tych wszystkich, którzy są daleko od Boga oraz w każdej sytuacji, tak aby modlitwa przepelniała nasze życie.

Szczególnym znakiem tych rekolekcji była jedność między modlitwą a głoszonym słowem. Modlitwa, również uczestników za siebie nawzajem, przeplatała często konferencje, budząc z letargu wszystkich uspiomych. Katechezy ożywiały spontanicznie inscenizowane scenki rodzajowe i dialog z rekolektantami. Głoszone Słowo mocno opierało się na konkretnych fragmentach Biblii. Dlatego też nie mogło zabraknąć zachęty, by być wiernym lekturze Pisma Świętego, która wyrażała się w pytaniu: „Gdzie jest twoja Biblia?”, która jest mieczem Ducha Świętego. Intencje wszystkich uczestników, naszego miasta, ojczyzny i świata składaliśmy Panu każdego dnia w czasie Eucharystii. Dziękujemy Bogu za posługę ks. Johna, za dar tych rekolekcji i wszystkie łaski, które otrzymaliśmy w tym świętym czasie.





foto: Dorota Kowalska

świadcstwo

Zobaczyłam, że jestem kochana przez Boga

wspomnienia wielu raniących sytuacji. Urodziłam się w rodzinie, w której oboje rodzice byli zranionymi ludźmi. W domu pojawiała się przemoc, kłótnie, napięta atmosfera. Oczekiwano ode mnie dorosłości, bycia silną i twardą, przez co nie czułam się przyjęta taką, jaką jestem. Gdy wyjechałam na studia do Torunia, wiedziałam, że mam w sobie ranę, ale bałam się z nią skonfrontować i wolałam zepchnąć pamięć o niej gdzieś na dno serca.

Przez pierwsze dwa dni rekolekcji faktycznie nie potrafiłam się otworzyć, ale trzeciego dnia, ku mojemu zdziwieniu, zaczęłam się modlić i śpiewać dla Boga z uwielbieniem i radością, oddając Mu i zawierając moją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Po Eucharystii, gdy wróciłam na swoje miejsce i zaczęłam się modlić, z moich oczu popłynęły łzy. Poczulałam się przed Bogiem jak dziecko, małe, zranione dziecko, szukające u Niego pocieszenia, utulenia, ukojenia i miłości. W pewnym momencie zobaczyłam Pana Jezusa w długiej białej szacie, który siedział i gestem zapraszał mnie do przyjścia do Niego i przytulenia się. Sens tego, co zobaczyłam, zrozumiałam i przyjąłam dopiero po powrocie do domu. Ogarnęła mnie wtedy taka radość i miłość, takie szczęście, że trudno je opisać. Zrozumiałam, że jestem kochana przez Boga, że jestem i zawsze będę dla Niego ważna. Otworzyłam wtedy Pismo Święte i przeczytałam słowa, które już zawsze będą mi się kojarzyć z doświadczeniem miłości Bożej i tymi właśnie rekolekcjami: *Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi* (J 1,10-12).

Owoce tych rekolekcji w moim życiu jest udział w Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym, którego - podobnie jak spotkania rekolekcyjnego - nie planowałam, ale myślę, że Pan Bóg zaplanował. Nie mogłam nie wziąć w nim udziału i nie pogłębiać relacji z Bogiem po tym, czego doświadczyłam. Chwała Panu!

Mam na imię Monika. Chciałabym podzielić się świadectwem z rekolekcji, które stały się dla mnie wspólnym doświadczeniem Bożej miłości, rekolekcji, które poprowadził ks. John Bashobora na przełomie lutego i marca tego roku.

Zacznę od tego, że udział w tym wydarzeniu nie był przeze mnie planowany. Właśnie wychodziłam z depresji, byłam pełna napięcia i smutku, uważałam, że nie zdołam się otworzyć na Boże działanie. Jednak pomimo takiego samopoczucia i obaw dzięki łasce Bożej zapragnęłam wziąć udział w tym spotkaniu.

Nie były to moje pierwsze rekolekcje. Czas, od kiedy się nawróciłam (około 2 lata wcześniej), był okresem intensywnego poznawania Boga, uczestnictwa w rekolekcjach, w mszach z modlitwą o uzdrowienie, czytania wielu artykułów i książek o tematyce katolickiej. Uwierzyłam w Boga z przekonaniem, całym sercem, ale nie potrafiłam otworzyć się na to, że jestem przez Niego kochana. Miłość umiemy przyjmować, jeśli jej doświadczyliśmy. Uczymy się tego od najwcześniejszych lat dziecięcych. Co tu dużo mówić - moje dzieciństwo, doświadczenia związane z miłością rodzicielską są trudne, a słowo „ojciec” budzi niemiłe skojarzenia do dziś, ciągle są we mnie żywe

NASZA OFERTA WYDAWNICZA



ZAPIS REKOLEKЦИИ Z OO. ENRIQUE PORÇU I ANTONELLO CAEDDU

DUCH ŚWIĘTY ZSTĄPI NA WAS I OTRZYMACIE JEGO MOC

1 płyta w formacie MP3: 15 zł (+ koszty przesyłki)

film z rekolekcji na płycie DVD: 60 zł (+ koszty przesyłki)



ZAPIS REKOLEKЦИИ Z KS. JOHNEM BASHOBORĄ

PRZYJDŹCIE DO MNIE WSZYSCY, KTÓRZY UTRUDZENI I

OBCIĄŻENI JESTEŚCIE, A JA WAS POKRZEPIĘ

1 płyta w formacie MP3: 15 zł (+ koszty przesyłki)

PROMOCJA: film z rekolekcji na płycie DVD: 40 zł (+ koszty przesyłki)

ZAPIS REKOLEKЦИИ Z O. JÓZEFEM WITKO OFM

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO I PRZEKLEŃSTWO

UZDROWIENIE MIĘDZYPOKOLENIOWE

DOŚWIADCZENIE DUCHA ŚWIĘTEGO

1 płyta w formacie MP3: 15 zł (+ koszty przesyłki)

film z rekolekcji na płycie DVD: 60 zł (+ koszty przesyłki)



Szczegóły na naszej stronie internetowej: www.poslanie.pl

DWUMIESIĘCZNIK „POSŁANIE”



Bo ja nie wstydę się Ewangelii, jest ona mocą Bożą ku zbawieniu

1/2014

W numerze m.in.:

Musimy biec, aby ewangelizować
Nie odrzucaj radości
Zobaczyć głębiej swoich pragnień

cena: 4,50 zł



Szukajcie Mnie, a żyć będziecie

6/2013

W numerze m.in.:

Dar Jahwe
Posyłam przed tobą anioła
Zagrożenia duchowe

cena: 4,50 zł

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY

Zachęcamy Was, drodzy Czytelnicy, do zaprenumerowania naszego dwumiesięcznika. Pismo można zamówić telefonicznie, mailowo, listownie, a także w naszym sklepie internetowym. Następnie należy wpłacić na nasze konto podaną kwotę (cena za pismo + koszty przesyłki). Po otrzymaniu wpłaty zrealizujemy Państwa zamówienie.

Opłata za prenumeratę półroczną: **12,00 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **18,00 zł**)
Opłata za prenumeratę roczną: **24,00 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **36,00 zł**)

Katolickie Stowarzyszenie Ewangelizacyjne „Posłanie”

skr. pocztowa nr 100
87-101 Toruń 3

e-mail: sklep@poslanie.pl

tel. **692 387 428**
(pon. - pt. w godz. 9:00 - 17:00)

nr konta bankowego:
27 1940 1076 3044 3244 0000 0000

KOSZTY PRZESYŁKI:

ilość egzemplarzy	koszt przesyłki
1 - 3	2 zł
4 - 5	4 zł
6 - 9	4 zł
10 i więcej	7 zł



Kto umrze dla wszystkiego, znajdzie życie we wszystkim.

św. Jan od Krzyża